

D U K A J

KATEDRA



JACEK  
DUKAJ

KATEDRA

WYDAWNICTWO LITERACKIE

# Spis treści

Karta redakcyjna

KATEDRA

Minibooki Jacka Dukaja w Wydawnictwie Literackim

© Copyright by Jacek Dukaj

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2015

© Copyright for the illustrations by Wydawnictwo Literackie, 2015

Opowiadanie z tomu „W kraju niewiernych” oparte na wydaniu  
Jacek Dukaj, „W kraju niewiernych”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008

Redaktor serii: ANITA KASPEREK

Projekt okładki: MACIEJ HARAF / Juice

Wydanie I, elektroniczne

ISBN 978-83-08-05613-4

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

Bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

Księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

KATEDRA

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, Amen. Izmiraidy na wyciągnięcie ręki, siedemdziesiąt dni od perilevium, burza za sto dwanaście godzin. „Rozmaryn” już prawie zrównał wektor prędkości z ich wektorem, widać Katedrę, mam ją na suficie, obraz czasu rzeczywistego. Zamykam i otwieram oczy, i spada na mnie drapieżnym ptakiem, chuda szyja, rozłożone szeroko skrzydła wież, kościste szpony, szkielet korpusu.

Zażyłem podwójną dawkę stupaka, głowa mi pęka w nieważkości. Próbowałem czytać Fereta, ale gubiłem wątek po kilku zdaniach. Kurtuazyjne rozmowy z Mirtonem. To czarter i lecę nim tylko ja i doktor Wasojfemgus, który praktycznie nie wychodzi z zaślepu; więc lecę sam. Dialoguję z „Rozmarynem”, gdy tak snuję się po jego wnętrzu, sztuczny dzień, sztuczna noc. Ma bardzo sympatyczny interfejs. Czasami podczas ćwiczeń w siłowni, otumaniony dokrewnymi wydzielinami, omal zapominam, że to tylko program. Posiada swoje priorytety. Pilnuje, bym nie czuł się samotny, i wciąga mnie w rozmowy na tematy, o których myśli, że mnie interesują.

– Więc sądzi ksiądz, że to nie był święty i żadne cuda nie miały miejsca?  
– pyta znienacka.

– Nie mam wyrobionego zdania – odpowiadam.

– Och, na pewno ksiądz ma – śmieje się „Rozmaryn”.

– A co ty sądzisz? – odbijam piłeczkę.

„Rozmaryn” chwilą milczenia daje do zrozumienia, że się namyśla.

– Sądzę – zaczyna – że jeśli był w owej chwili niepoczytalny, było to szaleństwo z łaski. Gdyby Bóg pozwalał sobie w ogóle na bezpośrednie ingerencje, to Izmir stanowiłby nie najgorszy pretekst.

– Więc wierzysz?

– W Boga? Czy wierzę? Raczej... domyślam się – rzecze „Rozmaryn”.

Kto wie, może i w tym wypadku Turing się mylił.

Sprawdzam aktualne dane na temat *rendez-vous* planetoid z Madeleine. Wciąż nic pewnego. Na łakach komputacyjnych Centrum Astronomicznego w Lizonne żywokrst tych równań rozrósł się na blisko hektar, a mimo to nie ma stuprocentowo pewnego wyniku. W najgorszym wypadku mam

miesiąc. Czy Kościół rzeczywiście byłoby stać na przesunięcie tak dużej planetoidy? Czy owa fantasmagoryczna Maszyna Hoana w ogóle pozwoliłaby na podobne przesunięcie?

Jestem. Pierwszy dzień na Izmiraidach. Widziałem grób, rozmawiałem z księdzem Mirtonem. Burza tymczasem wygotowała się po drugiej stronie. Wiedzieli, gdzie posadzić „Sagittariusa”. (No nie, co to ma wspólnego, wszystko zależy od pory dnia, momentu obrotowego kamienia; chyba że Wektor Hoana...)

Katedra stoi poza biostazą miasta, jest za wysoka, przebiłaby kopułę. Wahadłowiec „Rozmaryna” wysadził nas po drugiej stronie, samo miasto (miasto! – za dużo powiedziane: raczej przykryte półkulą powietrza skupisko tymczasowych kwater) leży w płytkim kraterze i jego zbocza zagroziły nam widok czarną skarpą. Ta Izmiraida nazywa się Róg, jest druga pod względem wielkości w całym skupisku, ale i tak ciężenie praktycznie tu nie istnieje. Od razu przesiedliśmy się do gruisa. Wasojfemgus pomógł mi ze skafandrem, te samowystarczalne próżniówki to prawdziwe zbroje, człowiek myśli pół minuty, zanim ruszy nogą.

Gruis na trasie od lądowiska do kopuły jeździ wzdłuż oświetlonej jaskrawo trakcji, przymocowany jest do niej za pomocą dwóch elastycznych pałków, wygląda to prawie jak kolejka linowa.

Kiedy jechaliśmy, doktor wskazał na prawo i powiedział:

– Wrak.

Zorientowałem się, że ma na myśli holownik Izmira. Spojrzałem w tamtym kierunku, lecz niczego nie dostrzegłem.

– Już za horyzontem – rzekł Wasojfemgus. – Jest linia także do niego. Ksiądz na pielgrzymce?

– Nie – odparłem i spróbowałem zażartować: – Służbowo.

Nie bardzo widziałem przez plastik hełmu jego twarz, ale chyba się nie uśmiechnął.

– Ja właściwie tylko na chwilę... – mruknął. – Skorzystałem z okazji, że ludzie zamawiają czartery do ewakuacji. Myśli ksiądz, że Madeleine nas puści?

Chciałem wzruszyć ramionami, ale niewiele z tego wyszło.

– Nie wiem. Liczą jeszcze.

– Taa.

Niebo nie jest tu niebem, lecz po prostu rozpiętym na wysokiej półsferze kosmosem. Gorzej: momentalnie traci tę iluzję dwuwymiarowości, wystarczy się zapatrzyć przez parę sekund i już przytłacza cię potworna otchłań. Umysł natychmiast przestawia się na obrazowanie przestrzenne i nie masz najmniejszych wątpliwości, żeś jeno pyłkiem drobnym w tym oceanie, mrówką na kamyku. Można wpaść w panikę. Ci, co pierwszy raz wychodzą w otwarty kosmos, czują niemal fizycznie, jak ich zmysły tracą wszelkie punkty orientacji; zaczyna się upadek, spadają w nieskończoną pustkę. Były przypadki utraty przytomności, były wymioty i szlochy, był nawet obłęd. Na planetoidzie to nie grozi, mimo wszystko jest tu jakiś horyzont, jest grunt pod stopami, domyślna płaszczyzna „dołu”. Ale gdy uniesiesz głowę i stracisz je z oczu... Mój Boże. Nie do opisanie.

Wjechaliśmy na krawędź krateru. Śluza kopuły już otwierała się przed maską gruisa. Sama kopuła z zewnątrz prezentowała się jako mlecznobiała półsfera, nic właściwie nie było przez nią widać. Wjechaliśmy do śluzy i zaraz wyjechaliśmy, drzwi zamknęły się i otworzyły tak szybko, że nawet tego nie zauważyłem; spojrzałem w górę – i znowu spadły na mnie gwiazdy: od wewnątrz kopuła jest bowiem całkowicie przezroczysta.

Pomimo tej polerowanej gładko czerni bezcieniowe światło zalewa jej wnętrze.

Budynki stoją w czterech koncentrycznych kręgach, w środku najstarsze; większość dwu-, trzypiętrowych. Krąg czwarty, zewnętrzny, według doktora jest niemal w całości opuszczony.

Gruis uwolnił się od trakcji i Wasojfemgus przeszedł na ręczne. Lewą ręką wskazywał mijane żywokrystne ściany i perorował (już nie przez interkom, zdjęliśmy bowiem hełmy):

– To Matabozzy. Zaczęli uciekać, gdy tylko okazało się, że podejdziemy pod Madeleine. Oni to pierwsi liczyli. Procesują się właśnie o te działki na szczeniakach Lizonne, dwa tysiące hektarów gęstego lasu analitycznego, niech się Centrum schowa. W szczycie, jakieś pięć lat temu, ponoć jedna trzecia tego lasu meła równania grawitacyjne Izmiraidów. W ramach testingu parametrów kontrolnych spięli z Fistaszką siedem ciężkometalicznych meteorów. Było to jeszcze przed krytycznym perilevium, no i teraz mamy Proces Czternastu. Już widzę, jak adwokaci



wyjaśniać będą sędziom przysięgłym teorię chaosu. Matabozza najprawdopodobniej pójdzie w bifurkacje, nikt im nie dowiedzie, że to nieprawda. Czyli w sumie dwa potężne procesy. Nic dziwnego, że tną budżet. Oni pierwsi. Natomiast ten arkadowy ciąg po lewej to filia NASA. Teoretycznie ograniczają się do monitoringu. Ha! Za mojej poprzedniej wizyty, jak wypłynęła propozycja rozerwania czarnych żył atomówkami, NASA wyskoczyła z tą ustawą weta. Był zamach na ich mózgowca. Stąd, widzi ksiądz, to zielone, tam mieszka ekipa śledczych UL; w każdym razie mieszkała, chociaż nie wygląda, żeby też się już wynieśli. A tamta ćwiartka to wszystko kwatery gościnne; Honzl to dzierżawi pielgrzymom, podczas szerokich okien ma full. Teraz się modli, żeby Madeleine nas puściła.

– On to dzierżawi, mówi pan. Zna pan status prawny Izmiraidów?

– Aha, prawo łupieżcy, parcelacja wirtualna. Więc te plotki są prawdziwe? Będziecie ratować Róg?

– Proszę pana...

– No tak.

Minęliśmy już centrum, czyli okrągły plac z fontanną w środku (wielkie krople wody spadały po absurdalnie wysokich parabolach). Wasojfemgus skręcił za białościenny budynek o wyszukanej arabskiej architekturze i tu zatrzymał gruisa. Wysiadł, machnął mi ręką i ruszył ku cieniom strzelistych arkad. Patrzyłem, jak szedł. Kolana prawie w ogóle nie pracowały, głównie achilles. Miał facet wprawę. Szybko zniknął w mroku.

Przełączyłem gruisa na auto i podałem mu adres kwater wynajmowanych u Honzla przez diecezję Lizonne. Samochód ruszył. Znowu jechałem przez milczące miasto. Teraz dopiero uświadomiłem sobie przeraźliwą jego bezludność. Przez cały czas, od samej śluzy, nie zobaczyłem żadnego mieszkańca. Wyglądało, jakby nie tylko czwarty, ale wszystkie kręgi żywokrystnej zabudowy zostały już dawno opuszczone.

Że nie było to prawdą, przekonałem się, wszedłszy do głównego holu hotelu Honzla. W niczym nie przypominał on lizońskich czy ziemskich holi hotelowych (bardziej staromodne stoisko z elektroniką) – w niczym prócz jednego: recepcjonisty. Gdy tylko przekroczyłem próg (prawdę rzekłszy, przeszybowałem, i to po zdecydowanie zbyt ostrym łuku), on podniósł się zza szerokiej lady, na której błyszczał kanciastymi wnętrzościami rozbebeszony automat. Podeszedł i wyciągnął dłoń. Ucisnąłem ją mimo rękawicy.

– Ojciec Lavone, jakże się cieszę, jednak ojciec dotarł. – Był bardzo młody, góra trzydzieści pięć lat; pewnemu, mocnemu uściskowi przeczył nieśmiały uśmiech na twarzy o oliwkowej cerze. – Jack, to znaczy ksiądz Mirton, czeka na ojca. Numer dwieście dwa.

– Bardzo mi miło, a właściwie...

– Honzl, Stefan Honzl.

Tak oto poznałem miejscowego potentata w branży hotelarskiej. Poszedł zabrać z gruisa bagaże. Mój pokój miał numer dwieście trzy. W ścianach windy umieszczono liczne uchwyty, przyspieszenie ciskało człowiekiem o sufit, nieostrożny nowicjusz wychodził z guzem wielkości orzecha.

Co się tyczy luksusów hotelowych, to ujrawszy korytarz drugiego piętra, przestałem żywić jakiekolwiek złudzenia względem charakteru Honzlowego przedsięwzięcia. Użył standardowego żywokrystu i z pewnością nie wykosztował się na żadne upiększenia wystroju; to już „Rozmaryn” więcej miał w sobie z hotelu. Gołe ściany, goła podłoga, zielonkawa luminescencja sufitu, drzwi krojone w identyczne prostokąty. Na Lizonne takie kwatery lokowałyby się poniżej gwarantowanego minimum socjalnego.

Zapukałem do dwieście dwójki.

Mirton rzeczywiście czekał na mnie. Wszedłem w jakąś rozległą wizualizację 3D, czym prędzej ją wyłączył, zdążyłem spostrzec tylko skomplikowaną symbolikę algorytmów ewolucyjnych. Mirton jest w wieku Honzla, na żywo wygląda jeszcze młodziej niż przez telefon. Okropnie nerwowy człowiek. W tym powitalnym wodospadzie gorących słów pomieścił tyle afektowanych westchnień i zachnień, że już zacząłem podejrzewać przeszarżowaną grę – ale to jest właśnie Mirton, Mirton *par excellence*.

– Ksiądz nie ma uprawnień do wydawania wiążących zaleceń co do miejsc kultu, prawda? Och, zastanawiałem się tylko... Tak, ja wiem, że to są cuda nie potwierdzone. Ale jeśli Kościół zdecydowałby się uruchomić swe zasoby... Niektóre z konsorcjów zaangażowanych tutaj z pewnością chętnie wzięłyby w tym udział, mogę skontaktować księdza, tak, przepraszam, mogę cię skontaktować z miejscowymi agentami, którzy w imieniu lizońskich decydentów czynili mi takie aluzje... Ależ nie, nie, nie, wręcz przeciwnie; już słałem prośby, znalazło się nawet kilku chętnych na zastępstwo, ale jakoś... Rozumiesz, to już czwarty rok, niemal prosto po

seminarium, z kim ja tu mam do czynienia, no sam przyznasz, naprawdę czas już, żebym wrócił na Lizonne; jeśli byłbyś tak dobry... Według swojego uznania, rzecz jasna. Nerwy? Może faktycznie. Sam się przekonasz. Cóż mogę rzec? Jeszcze w oknach, gdy był szczyt pielgrzymek i miałem takie msze, że Katedra faktycznie pękała w szwach... Ale teraz. Choćby Madeleine nas nie złapała – zawsze to z rok aplevium, pustelnia, może nie? Wiem, wiem, narzekam. Może kawy?

Poszedł po tę kawę (na końcu korytarza mieści się kuchenka termiczna). Honzl zajrzał przez wpółotwarte drzwi, by pokazać, że dostarczył już bagaż. Pokiwałem głową, dziękując. Pokój Mirtona (bliźniaczy mojemu zresztą) zawalony był bibułowymi wydrukami, tylko od rzutników tele szły przez niskociężeniowy bałagan korytarze pustki. Bałagan ułamkowej grawitacji różni się bowiem od bałaganu 1 g, tak jak ciasto francuskie różni się od chleba. Prawdę mówiąc, siedziałem tam tak spięty głównie dlatego, iż w podświadomym przekonaniu pewien byłem, że wystarczy jeden mój nieostrożny ruch, by zawalić te asymetryczne rusztowania Mirtonowego chaosu. Obracałem się na krześle, zważając na położenie każdej kończyny. Za plecami, na ścianie, miałem szereg wielkich, czarno-białych zdjęć Katedry. Na jednym przez jej wysokie skrzela przestrzeliwały oślepiające promienie Lévie, wielka tarcza słońca wydobywała się z izmiraidowego Tartaru; nadłupywała ją kolejna asteroida, sądząc po kształcie – Podkowa. Na drugim zdjęciu Katedra pochylała się nad obiektywem wprost z gwiazdzistej otchłani, kształtu budowli domyślać się można było jedynie po mroku między srebrnymi punktami. Trzecie znowu przepełniał niesfiltrowany blask. Mirton wrócił z kawą, zapytałem go o te zdjęcia. Zmieszał się, zaczął coś mówić o hobby. Że niby koresponduje z Ugerzo. Ten człowiek faktycznie sprawia wrażenie mocno zestresowanego.

Wieczorem (miejscowy czas jest standardowym czasem podróжным Lizonne, nie musiałem się przestawiać) zabrał mnie do Katedry, do grobu Izmira. To miejsce istotnie ma w sobie coś... niesamowitego. Później opiszę.

Pierwsza noc na Rogu. Izmiraidy coraz bliżej Madeleine, żywokryst logiczny Centrum Astronomicznego wciąż tylko rośnie (wysoka ergodyczność układu).

Hotel Honzla stoi pusty; całe to niby-miasto wygląda na opustoszałe. Żadnych luksusów, ta kopuła wyrosła na użytkowym żywokryście biosfer wojskowych, natężenie światła nie zmienia się niezależnie od pory biocyklu. Obudziłem się po drugiej w nocy, mleczne światło lało się z okien, biała skóra nabiera w nim lekko trupiego odcienia. Wstałem, szarpnąłem ramę (same głupie sprzęty, nawet z drzwiami nie pogadasz). Dno przykrytego krateru schodziło w dół aż do samego ronda z fontanną, miałem widok na wszystkie kręgi piekła ciszy. Bezruch i bezdźwięk. Obudzony w majaku wieloryba.

Nie mogłem jednak ponownie zasnąć i w końcu zdecydowałem się na „nocny” spacer. Wciągnąłem tylko szorty i sweter. Hol na dole był pusty, ani śladu po Honzlu. Wyszedłem na ulicę o sterylnie białej nawierzchni. Trzeba poćwiczyć chód. Zmierzając ku fontannie (słyszałem jej szum już w drugim kręgu) po tak rozciągniętej spirali, okrążyłem krater przynajmniej półtora raza. Mijałem zamknięte na cztery spusty sklepy z dewocjonaliami, zarośnięte blankującym żywokrystem centrum medyczne, skąpane w jaskrawej zieleni przeprogramowanych roślin wille mieszkalne dla naukowców, którzy w większości też już opuścili Izmiraidy (korporacje minimalizowały straty, wydając na paliwo najmniejsze możliwe sumy, a dawno już minęła pora ekonomicznych okien). Dwa razy się przewróciłem. Taka prawienieważkość jest jednak bardzo męcząca, mięśnie drętwieją, we łbie się kręci.

W końcu przysiadłem na rzeźbionym obramowaniu fontanny. Pył wodny ochładzał spoconą skórę. Krew szumiała w uszach i nie usłyszałem, jak podeszła. Dotknęła mego ramienia. Wzdrygnąłem się i ten dreszcz podniósł mnie na równe nogi.

Najpierw pomyślałem, że faktycznie jest w ciąży, bo nie miała na szyi wokalizatora ani tompaku na karku – ale zaraz spostrzegłem przypięty do ramienia głośnik i logo CFG Co. na obszernym T-shircie.

– Pierre Lavone? – spytał mózgowiec.

– Tak. Z kim mam przyjemność?

– Angii Telesfer *in utero* Magdaleny Kleinert. Może usiądziemy?

Przysiadłem zatem z powrotem na rzeźbieniu fontanny, Kleinert obok.

– Nie to, żeby wiele tu ważył – uśmiechnęła się Magdalena – ale woli, żebym nie naciągała mięśni.

– Tyranizuję cię, powiedz to – sarknął Telesfer.

Kleinert machnęła dłonią.

– Oczekiwaliście mojego przylotu? – zapytałam.

– Tak – przyznał mózgowiec. – Oczywiście.

Przypomniałem sobie słowa Mirtona o aluzjach miejscowych przedstawicieli firm.

– Jeśli tak bardzo zależy wam na Izmiraidach – zauważyłem – znacznie łatwiej sami mogliście to zorganizować. Nie wiem, skąd bierze się to przekonanie o niezmierzonych bogactwach Kościoła.

– Z tajemniczości jego przedstawicieli – zaśmiał się Telesfer. – Poza tym nie ma żadnych „nas”. Jestem po prostu jednym z najmitów CFG, nie zasiadam w zarządzie, nie mam prawa wypowiadać się w czymkolwiek imieniu, na pewno nie w imieniu innych inwestorów.

– Rozumiem. Struktury poziome. Lobby izmiraidowych naukowców knuje za plecami decydentów.

– Mniej więcej. Gdyby Kościół ogłosił, że podejmuje inicjatywę ratowania Izmiraidów, to co innego. Otworzyłaby się możliwość. Większość chyba by w końcu przystąpiła. Ale sami z siebie... – prychnął – nigdy w życiu.

– Jest tu jakiś system kontroli wewnętrznej?

– Bez przesady, żaden spisek. Ja i tak właściwie nie śpiam; obudziłem pannę Magdalenę i poszliśmy pooglądać gwiazdy.

– Rozumiem. – Rozmawiając z niewidocznym mózgowcem, krążyłem spojrzeniem po jasnych elewacjach pobliskich budynków; teraz puściłem oko do Kleinert. – Długo pani nosi tego egoistę?

– Ech, będzie już cztery lata. Nie jest nawet taki zły...

Równocześnie Telesfer podniósł błazeński lament.

– No tak, teraz będzie przytaczać encykliki, litować się będzie z wysokości, dziecię pychy, rzeknie; teraz znowu...

– Cicho, cicho. Jak konkretnie brzmi wasza propozycja?

– Nie ma żadnej propozycji – uciął. – Możemy tylko księdza zachęcać. Bo oni tam czekają na księdza raport, prawda? Nie jesteśmy tak naiwni, żeby wierzyć, iż jedno księdza słowo przesunie planetoidy; ale na pewno na decyzji zaważy.

– Nie bardzo sobie wyobrażam sposoby tego zachęcania – mruknąłem. – Możecie mi przedstawić dowody cudów?

– Zatem księdzę interesuje tylko domniemana świętość Izmira?

– Nie. Mnie interesuje wiele różnych rzeczy. Zagadka Hoana, na przykład. Ale jeśli chodzi o to, co interesuje czytelników mego raportu, to tak, ma pan rację: jest to świętość Izmira.

Mózgowiec milczał przez dłuższą chwilę. Magdalena sennymi ruchami ręki mąciła wodę w zbiorniku fontanny.

– Proszę mnie jutro odwiedzić – odezwał się wreszcie Telesfer. – W głównym laboratorium CFG. Komputer będzie uprzedzony. Po osiemnastej. Skoro istotnie interesują księdzę różne rzeczy... Cóż, przyjemnych snów życzę.

Kleinert uściśnęła mi dłoń (palce mokre od zimnej wody), wstała, odwróciła się i dostojnym, powolnym krokiem odeszła ku jednej z rozbiegających się promieniście od placu ulic.

Wróciłem do hotelu i nagrałem relację z tej rozmowy.

Więc teraz Katedra. Olbrzymia, wspaniała. Wychodzisz ze śluzy biosfery i widzisz ją – Katedrę – przed/ponad sobą: poszarpany cień na tle gwiazd. Trzeba światła, żeby docenić jej architekturę, a światła właśnie brak: Lévie już daleko, Madeleine jeszcze niewystarczająco blisko. Teraz, w długim okresie kosmicznego interhelium, Katedra jest przede wszystkim Tajemnicą. Do głównego portalu od śluzy prowadzi po stoku krateru kręta trawka, schodzi się wyrąbaną w zimnym kamieniu ścieżką, z linką asekuracyjną obligatoryjnie zaczepianą u pasa przez automat zewnętrznych wrót. Zazwyczaj zwycięża wtedy ciekawość i schodzący włącza potężny reflektor próżniowego skafandra. Biały palec reflektora może jednak dotykać tylko poszczególnych fragmentów budowli, przesuwając po nich po kolei – jasnym naskórkiem po powierzchni Katedry: stąd dotąd, stąd dotąd. Schodząc, trudno utrzymać światło nakierowane na jeden i ten sam punkt – więc człowiek przystaje, zagapia się, wodzi gorącym paluchem po skalnej kreacji; takie zejście od śluzy (dwieście metrów) może trwać i godzinę. Wiem, bo tyle właśnie trwało w moim przypadku: ksiądz Mirton czekał przy grobie, powiedział potem, że się spodziewał, niektórzy siadają na stoku i zapadają w jakieś katatoniczne zauroczenie, dopiero alarmy

skafandra ich budzą. Nie dziwota. To nie jest budynek, to rzeźba. Ale też i nie rzeźba. Ugerzo, zamawiając specywowokryst, wiedział, że to, co tu wyhodzi, nie będzie służyć zwykłym celom, że funkcjonalność Katedry nie ma znaczenia wobec jej symboliki. Ograniczenie było tylko jedno: grób Izmira i ołtarz – one mieściły się wewnątrz, objęte autonomiczną minibiosferą, dla nich musiało ocaleć miejsce, wolne dojście dla wiernych. Resztę pozostawiono wyobraźni designerów oraz ergodyczności założonych algorytmów wzrostu. Siew objął zatem wnętrze okręgu dookoła mogiły, jakieś czterysta metrów kwadratowych. W prawienieważkości planetoidy żywokryst wystrzelił był na blisko ćwierć kilometra wzwyż. Kiedy się patrzy od strony śluzu kraterowej biosfery, wygląda to tak: hiperboloidalny korpus z wywiniętymi w krzywe skrzydła, łukowatymi żebrami pośrodku; na flankach zaś – asymetryczne wieże zakończone kamiennymi wykwitami strzępiastych liści, niczym zamrożone czarną próżnią w chwili eksplozji węglowe szrapnele. Forma mówi o ucieczce duszy, która w okrutnym bólu wyrwa się z okowów materii ku gwiazdzistej pustce. Gdy światło zaczyna tu śledzić jakąś linię, krawędź, załamanie, zebro kopuły – szybko wyciska z mroku ostre szczegóły, ociekające gęsto twardymi cieniami, i oko wpada w spiralę dociekliwości, tym szczegółom nie ma końca, fraktalne algorytmy żywokrystu przydały tu wszelkim figurom pozornie ułamkowe wymiary, oko się gubi. Dookoła wież pną się ku stop-klatkom śmierci spirale Escherowych schodów, pod pewnym kątem wygląda to nawet na drogę, którą człowiek faktycznie może przebyć, ale w rzeczywistości, gdy światło ogarnie większy fragment Katedry, widać, że musiałby to być raczej pajak niż człowiek; i że nawet on donikąd by w końcu nie dotarł. Asymetria wież powoduje, iż cały ten azur żywokrystu zdaje się chylić ku kraterowi, ku patrzącemu, i na jego prawą stronę; natomiast przewrotność algorytmów redukcyjnych odpowiedzialnych za kształt zewnętrznych powierzchni nawy głównej – iż toczy Katedrę jakiś nowotwór kamienia, że mianowicie patrzący widzi właśnie ostatnią, przedśmiertną postać budowli, a zaraz – za dzień, dwa – zapadnie się ona w siebie, skłębnie, przegnie, trzasną pod ciężarem udręczonego kamienia strzeliste żebra, zwieńczony krzyżem kręgosłup runie w cieniste przestrzenie organów wewnętrznych i spomiędzy szczęk wysuniętego portalu wytoczy się powolna lawina kruchej krwi Katedry. Forma mówi o udręce samotnego konania, słabości materii, która zatruwa zwątpieniem niewidzialnego ducha. A jeśli się zgasi reflektor i chwilę tak

posiedzi na stoku, może też kawałek przejdzie wte i wewte pod asekuracyjną trakcją – jeśli się to uczyni, głodna żrenica wyłapie pojedyncze promienie światła bijące z wysokiej bryły cienia. Gwiazdy przeświełają Katedrę na przestrzał. Nie posiada ona wszak ścian ani dachu, bo do niczego nie są jej jako budynkowi potrzebne – to przecież nie jest budynek – a przezroczysta półsfera przykrywająca grób Izmira i ołtarz sama spełnia wszystkie konieczne ich funkcje. Toteż w rzeczy samej nie mamy tu do czynienia z bryłą ergonomiczną. Wnętrze konstrukcji nie jest puste i, chociaż tego już człowiek nie zobaczy, wypełnia je takie samo misterium żywokrystnych przekształceń, jakie wyrzeźbiło części widoczne. Więc o określonej porze określone gwiazdy są w stanie posłać swe światło p r z e z Katedrę. Schodzący ku niej rejestruje co chwila błyski jasności z tej gigantycznej plamy mroku, prawie jak sygnały rozpadu w komorze próżniowej: strzały z nicości. Potem wchodzi w cień portalu, zamykają się dookoła niego kurtyny zamarzniętych fal, gęszcz żelazowych krzaków, brodzi w wylewach jeziora bólu. Zakręt, światło – i stoi przed grobem.

Poszedłem do CFG.

Główne laboratorium zajmuje trzy dwupiętrowe budynki, zestawione w podkowę otaczającą miniogród, w którym rosną mocno przeprogramowane drzewa. Komputer rzeczywiście był uprzedzony i wpuścił mnie przez główną bramę do tego ogrodu. Zraszacze opryskały mnie salwami chłodnych kropel. Słyszałem ptaki, ale ich świergot pochodził chyba z głośników.

Wyszedł mi na spotkanie chudy Murzyn w koszuli w kratę. Przedstawił się jako Mood, asystent Telesfera. Z ogrodu przeszliśmy do cienistej sutereny. Szklany żywokryst kroi rozległe pomieszczenie na kilkanaście kantorów/gablot; w jednej z nich spała na leżance Magdalena Kleinert. Mood wskazał ją brodą, po czym podał mi słuchawki.

– Przepiąłem tymczasowo wyjście audio – mruknął.

Założyłem słuchawki.

– Dzień dobry – odezwał się Telesfer. – Słyszał ksiądz nowiny? Żywokryst logiczny Centrum Astronomicznego przestał się rozrastać.

– Taak.



– Proszę podejść do stołu pod palmą. Futerał w rogu. Proszę z łaski swojej je założyć.

Wyjąłem i założyłem okulary. Telesfer zwizualizował się fioletowym elfem w purpurowym kubraczku. Palił cygaro i tym cygarem skinął na mnie, bym za nim podążył. Ominąwszy z daleka chrapiącą lekko Kleinert, zaprowadził mnie do ostatniego szeregu gablot. W żywokrystnych blokach czerniły się tu pod ścianą małe, chropowate bryły. Telesfer-elf wskazał je dymiącym cygarem.

– Liczba odwiertów przeprowadzonych przez CFG na wszystkich Izmiraidach przekroczyła tysiąc. Wie ksiądz, czego szukaliśmy: Maszyny Hoana. Cóż, nie znaleźliśmy jej. To są fragmenty niektórych rdzeni. Co w nich takiego ciekawego... Bo ksiądz szuka tu ciekawostek, prawda? Oto i ciekawostka: struktura makrocząsteczek żelazowych tych rdzeni; ten z głębokości kilometra, ten – prawie dwóch, ten – z samego, mhm, jądra planetoidy.

Telesfer machnął ręką i w powietrzu nad jego głową rozwinęła się z jakiegoś podwymiaru brunatna chmura. Poprawiłem okulary, podszedłem bliżej, zmrużyłem oczy. Chmura wydawała się składać z wielu mocno sprasowanych warstw: na przemian brązowej, żółtej i czarnej bibuły, na dodatek każda kolejna warstwa odmiennie rozkładała strefy zagęszczeń i rozrzedzeń materii, tak że całość sprawiała wrażenie raczej czegoś w rodzaju randomicznego filtra.

– Tak to mniej więcej wygląda – rzekł Telesfer. – Przy czym w większych Izmiraidach, takich jak chociażby właśnie Róg, strukturę tę odnajdujemy praktycznie wszędzie poniżej pewnej głębokości. Zasadziliśmy żywokrysty do logicznej interpolacji tych makromolekuł, ale wpadły w głód, niczego się nie dowiedzieliśmy, nie istnieje naturalna ścieżka dla powstania czegoś takiego, w każdym razie my nie znamy stosownych warunków brzegowych. Nie jest to minerał ani żadna forma życia podług hawajskiej jego definicji. Nie wykazuje zdolności samoreplikacyjnych. Nazywamy je Czarną Watą.

– Postulaty Hoana? – spytałem.

– Nic – odparł Telesfer, przysiadłszy na jednym z przezroczystych bloków żywokrystnych, w którym tkwiła bryła Waty o kształcie nerki. – Brak mechanizmu przetwarzania energii, brak jakiegokolwiek ogólnego

źródła zasilania, nie reaguje na żadnym poziomie. Nijak nie pasuje do Maszyny.

– Hoan postulował aktywną rzeźbę czasoprzestrzeni – mruknąłem. – Koszt energetyczny musiałby tu być oczywiście ogromny; ale wobec tego może to coś innego.

– Co? – Telesfer wzruszył ramionami. – Bez wątpienia manipuluje grawitacją. Poza tym nie znając samego mechanizmu – a przecież nie mamy o nim zielonego pojęcia, nasi rzecznicy mogą mówić co innego, ale tak naprawdę żadna z kompanii, które zainwestowały tu w badania w nadziei na owego świętego Graala fizyki, nie posunęła się do przodu ani o krok – więc, jak mówię, nie znając mechanizmu, nie możemy nawet spekulować o koniecznych do zaangażowania w manipulację mocach. Hoanowy domyślny wektor korekcyjny nigdy nie był aż tak duży, jak się powszechnie wydaje; wystarczy umiejętnie manipulować parametrami kontrolnymi układu. Trzeba ciągłych, długich przyłożeń, lecz stosunkowo słabych, jeśli tylko dobrze i w porę przycelowanych.

– Rzeczywiście, ciekawostka – przyznałem, popatrując to na bryły Czarnej Waty, to na efekciarską symulację jej struktury molekularnej.

– Dalej. – Telesfer wstał, minął kilka gablot i wskazał cygarem wielką dioramę, obrazującą geologiczny przekrój Izmiraidy o nazwie Kolos (jak wynikało z podświetlonego opisu). – Spójrzy ksiądz na to. O, tutaj, ta warstwa.

– Mhm?

– Ścieżka analizy... O. I taki rozkład.

– Błysk gamma?

– Prawidłowo. – Telesfer skłonił głowę. – Rozvorsky, środek przedziału.

– Jak dawno?

– To trudno ocenić. Nie można się tu oprzeć na geologii planetarnej i datowaniu podług zegara epok czy zegara solarnego.

– Izotopy?

– To niestety daje duży i bardzo rozmyty przedział, bo datujemy przekładańcem, a przecież toto po prostu leci sobie przez próżnię. Sto do dwunastu milionów lat.

– Ho, ho, rzeczywiście. Znane eksplodowane gwiazdy neutronowe w sferze dziewięćdziesięciu milionów lat świetlnych? *Matching?*

– A czym nakarmimy żywokrst? – wyszczerzył się fioletowoskóry elf. – Średnica Mlecznej Drogi wynosi sto tysięcy lat świetlnych. Kilkaset miliardów gwiazd. Ja pięknie dziękuję.

– Mhm. Znaleźliście ten ślad na wszystkich Izmiraidach?

– O, widzi ksiądz, właśnie że nie. Tylko na czterech największych oraz na Gwizdku.

– A Czarną Watę? Jakaś zależność?

– Czarna Wata jest wszędzie; tu więcej, tam mniej.

– Interpolacja toru układu.

– Z Wektorem Hoana...? – roześmiał się Telesfer. – Jak?

– No tak. – Zmieszałem się, bo z tego wszystkiego zapomniałem, że prób zaniechano zaraz po Hoanie; taka mechanika ima się tylko układów makrodeterministycznych, w których nie występuje nieanalizowalny czynnik moderujący. – Zresztą wystarczyłoby parę przejść nad Madeleine. No ale jaka może być maksymalna prędkość Izmiraidów w próżni międzysystemowej? Na chłopski rozum. Gdyby ten potop gamma przyszedł z tak daleka, zostawiłby analogiczne ślady wszędzie tu w okolicy. A tutaj – wskazałem dioramę – widzę, że cholernie mocno przygrzało. Lizonne byłaby teraz sterylną planetą, piec mionowy, zero życia. Więc nie; musiało dopaść je w sporej odległości. A zatem dosyć dawno. Czy ktoś tu wierzy w wędrówki międzygalaktyczne? Nie sądzę. *Ergo*: szukajmy wzdłuż ramienia. Można chyba nawet wyprowadzić toporny wzór, istnieje zależność...

– Pięknie, pięknie – kiwał głową Telesfer – ale co nam to da? Nawet gdybyśmy w końcu jednoznacznie zidentyfikowali źródłową neutronówkę. Skoro dystans jest tak duży, że nie przypieкло ani Lizonne, ani Ziemi, to jest to zarazem dystans wielokrotnie przekraczający zasięg naszych ślimaczych stateczków. Że już nie wspomnę o dystansie czasowym: tysiące lat temu. Zagadka tkwi tutaj, w Izmiraidach. – Telesfer tupnął nogą, wskazał cygarem podłogę. – I tutaj też musimy znaleźć odpowiedź. A ile mamy czasu? Dwa miesiące, potem Madeleine, potem diabli wiedzą co.

– Nie w mojej mocy...

– Być może nie, być może tak. Skąd ksiądz może to wiedzieć, skoro nie spróbował? Tak, to prawda, ja się zgadzę: oni przysłali tu księdza jedynie z biurokratycznej skrupulatności, Kościół to instytucja jak każda inna,

czasu na skostnienie miała wystarczająco dużo. Ale to nie zmienia postaci rzeczy.

– Pan nie rozumie, panie Telesfer! – Przyznaję, zdołał mnie zirytować. – To wszystko nie ma żadnego znaczenia dla orzeczenia o domniemanych cudach Izmira Predú! Nawet gdybyście wykopali tu calutkie UFO pełne zmumifikowanych Obcych. To nie ma najmniejszego znaczenia!

Elf wydmuchnął serię dymnych obwarzanków.

– Być może tak, być może nie. Skąd ksiądz może to wiedzieć?

Żywokryst logiczny Centrum Astronomicznego przestał się rozrastać i w końcu zakwitł. Madeleine katapultuje Izmiraidy poza studnię grawitacyjną Lévie: w ten sposób domknęły się równania. Tak zatem w ciągu trzech tygodni musimy się wszyscy ewakuować z Rogu. Nikt nigdy więcej nie zobaczy Katedry, nikt nigdy nie stanie w jej cieniu; po opuszczeniu Madeleine nigdy już nie będzie ona rzucać cienia. Nigdy – a w każdym razie nie w czasie ogarnialnym naszą ludzką miarą. Siedziałem dzisiaj przy grobie Izmira, pod sferą wewnątrz-katedralnej biostazy. Grób znajduje się między dwoma rzędami ław, przed ołtarzem, zza którego świeci tabernakulum. Ławy ciągną się do samego labiryntu wyjścia, każda długa na jakieś dwadzieścia metrów – licząc miejsca stojące, zmieściłoby się tu ponad cztery tysiące wiernych. Zaiste, Katedra. Oczywiście w sensie prawa kanonicznego katedrą nie jest; ale Ugerzo tak zatytułował projekt i nikt, kto raz zobaczył budowlę, nie nazywa jej inaczej jak Katedrą właśnie. Z wnętrza (to absurdałne) wydaje się jeszcze większa. Światło tu rozchodzi się spod półsfery zgodnie z kierunkami spojrzeń i cieni nie widać w ogóle; w istocie jednak aż roi się od nich, wystarczy wyjść poza półsferę ochronną. Wnętrze Katedry nie jest puste – gwoli prawdy bardziej niż o wnętrzu budynku trzeba tu mówić o jego w n ę t r z n o ś c i a c h. Uniósłszy głowę, to znaczy przechyliwszy ją w tył do poziomu, widzisz, że tam, gdzie w prawdziwych, normalnych katedrach wybuchałaby na dziesiątki metrów sześciennych monumentalna pustka (ten wielokrotny krzyż w architektonicznej partyturze), w Katedrze miejsce jej należne zajmuje chaotycznie rozrośnięty żywokrystny kamień, krętymi jelitami, strzępiastymi płucami, tu gęstą, tam rzadką siecią żył – rozpościerający się od ściany-szkieletu do ściany-szkieletu, od zwieńczonego krzyżem grzebienia do prawie samej

powierzchni półsfery. Nic tu niczemu nie służy i nie ma dla tych wiszących w górnych jasno-ciemnościach brył nijakiej partykularnej teleologii, projektanci ziaren inicjujących nie określali nawet w przybliżeniu architektury wnętrza, w pierwszy żywokrst weszły jedynie najbardziej podstawowe dane wejściowe, widełki warunków brzegowych i kilka początkowych kroków przekształceń. Tak się algorytmizuje oryginalność, mechanicyzuje sztukę spontaniczną i zaklina w formę interakcje z zimną planetoidą. Ugerzo zapłacił, Ugerzo dostał. Nawet katafalk domniemanego świętego, stylizowany na nagrobną płaskorzeźbę krzyżowców (jedna noga Izmira opiera się na kostce drugiej), stanowi organiczną część Katedry, wyrósł z posadzki, przykrywając romboidalną mogiłę, w której pochowali Izmira ocaleli członkowie załogi „Sagittariusza”.

Pamiętam, że o tragedii starego holownika R-L dowiedziałem się podczas wyprawy w Greorne. (Ileż to już lat, mój Boże...) Zeszliśmy z Murabików i właśnie rozłożyliśmy się obozem w niewielkiej kotlinie, całkowicie pogrążonej w cieniu Czwartego Murabika; trzeba nam było kilku dni na odzwyczajenie się od dotleniaczy, żyły jeszcze piekły i mózg generował ulotne halucynacje. Siedzieliśmy w namiotach, ktoś włączył telewizję i wtedy usłyszałem o „Sagittariusie”. Akcja ratunkowa już trwała, szacowano szanse, holownik szedł po dziwkiej hiperboli, boczna eksplozja cisnęła nim nieco ponad ekliptykę, wszelkie proponowane tory przechwytyjące wymagały od ścigających kosztownego aktywnego manewrowania, same limity paliwowe wykluczyły dziewięćdziesiąt procent jednostek. Szybki żywokrst ramowy urodził ogólne rozwiązanie wskazujące na Lizońską Jednostkę Operacyjną „Fellini” i ów „Fellini”, bez żywego członka załogi na pokładzie, za to z ogromnymi zapasami tlenu, wody i żywności, pędził teraz po wymuszonej na stałym 4.6 g. Wszystko jednak sprzysięgło się przeciwko Strzelcom. Z dosłownie resztką paliwa, jaka im pozostała po inicjującej eksplozji, nie byli zdolni do żadnych radykalnych zmian kursu. Idąc *de facto* ku Lévie, spadając w ciasne grawitacyjne objęcia gwiazdy, dodatkowo tracili na manewrowości. Dotychczasowe obliczenia jasno wskazywały, że – na skutek niemożliwego do załatania ich własnymi siłami przecieku z holownika – sukcesywnie uchodzi z zamkniętego obiegu tyle tlenu, iż poduszka się jeszcze przed przybyciem LJO „Felliniego”. *Last but not least* – kołdra magnetyczna Lévie zaczynała się giąć i wypaczać, sygnalizując rychłą burzę słoneczną; a burze Lévie bywały śmiertelne nawet dla pracujących na orbicie Lizonne,

na sygnał alarmu kryli się wszyscy w grubościennych schronach. „Sagittarius” zaś, przeznaczony do operowania w parach z większymi jednostkami i tylko wyjątkowo zabierający na pokład ludzi (na przykład w takich jak ten przypadkach: gdy służył za prowizoryczny wahadłowiec), schronu takowego nie posiadał. Zaiste, nagromadzenie kataklizmów było imponujące; piętrzyły się nad nieszczęsnymi załogantami holownika na podobieństwo sinoczarnych chmur opadowych, każda śmiertelna. Przyglądaliśmy się w podmurabikowym namiocie twarzom czterech feralnych podróżników ku zagładzie – trzech mężczyzn, jedna kobieta, inżynierowie Rotschilda-Larusa, spoceni i brudni – z siedmiominutowym opóźnieniem dochodziły nas ich otepiałe nieustającym przerażeniem spojrzenia, przez wielki ekran zaglądaliśmy do półmrocznego wnętrza statku śmierci, „Latającego Holendra” próżni, niechrześcijańsko chciwi autentyzmu ich cierpień.

Cała planeta radziła nad ich ratunkiem (notabene: wielki sukces medialny) i pierwsza rada była taka: wykorzystać do osłony przed burzą słoneczną nakursowe planetoidy. Wymacano ich grupę idącą po orbicie wymagającej stosunkowo niewielkiego przyduszenia pędu „Sagittarius”. Podejście takie było ze wszech miar słuszne: trzeba radzić sobie z problemami po kolei, poczynając od najbardziej palącego. Tak więc holownik dopadł asteroid i usiadł na jednej z nich, w miejscu, które – jak zakładano – gwarantowało maksymalne bezpieczeństwo podczas burzy. Nastroju to nikomu nie poprawiło, bo już zupełnie precyzyjnie obliczono opóźnienie „Felliniego” i wszyscy – na czele z czworgiem Łuczników – wiedzieli, że tak sprytnie ukrycie się przed gniewem Lévie jedynie odroczyło im egzekucję, i to o niecałe sto osiem godzin. Burza grzmiała w radioodbiornikach – a oni tam z każdą minutą bliżej i bliżej byli śmierci; „Fellini” przybędzie do statku trupów. Żywokryst niemal natychmiast zakwitł był rozwiązaniem oczywistym dla większości Lizończyków i bez jego obliczeń: że mianowicie tego, czego nie starcza dla czworga, dosyć będzie dla trojga. Oni tam w „Sagittariusie” wiedzieli to od początku, wystarczyło zajrzeć im w oczy. Gdyby się zdecydować wystarczająco wcześnie, a potem ciągnąć na najniższej krzywej zapotrzebowania energetycznego, to znaczy spać... Wiedzieli doskonale, liczyli godziny i minuty, zarząd R-L wymusił transmisję ciągłą głównie z tego powodu, by nieprzerwaną kontrolą ich poczynąń zapobiec jakimś skrytobójczym zamachom czy desperackim samosądom. Efekt był taki, że nieszczęśnicy

przeważnie ponuro milczeli i tylko popatrywali spode łbów to na siebie nawzajem, to na ekrany. Na Lizonne przyjmowano zakłady co do dalszego rozwoju wypadków: przeżyją czy nie; kto konkretnie; co ich zabije; kto zabije kogo; kto załame się pierwszy etc. Wylądowali na planetoidzie: powstało parę fortun. Nie zabiła ich burza: parę osób zbiedniało. Izmir Predú wyszedł z holownika na powierzchnię asteroidy i zdehermetyzował swój skafander. Cóż, byli tacy, którzy i to obstawiali.

„Fellini” uratował pozostałą trójkę. Zanim się przesiedli do nieuszkodzonej LJO, pochowali Izmira w zimnym, czarnym kamieniu planetoidy. W swym przedśmiertnym nagraniu, dokonanym już po opuszczeniu śluzy, Izmir prosił o pochówek na tym kosmicznym gładzie. Żegnał się też wówczas z rodziną i przyjaciółmi i polecał swą duszę Bogu. Psychologowie analizowali później każde drżenie w jego głosie, każde opóźnienie oddechu, każde najbanalniejsze sformułowanie – był poczytalny czy nie był, przeważała presja czy też podjął decyzję w pełni świadomie? Już wcześniej reporterzy tropili wstecz życiorysy całej czwórki – teraz wywleczono na wierzch najwcześniejsze wspomnienia rodziny z dzieciństwa Izmira. Kłopot polegał na tym, że był to najwyraźniej zupełnie przeciętny człowiek. Nawet zważywszy, w jakim kontekście go obecnie wspominano – i tak jawił się w tych sztucznie indukowanych retrospekcjach osobą w niczym szczególnie nie odbiegającą od średniej. Pracownikiem był dobrym, ale nie pękała jego teczka od pochwał. Katolikiem był praktykującym, ale ciężko przychodziło pytanym wynaleźć na poczekaniu przykłady demonstracyjnej jego religijności. Przestępstw i wykroczeń nie popełnił żadnych (o żadnych nie wiedziała lizońska policja). Dowodów uprzedniego rozchwierutania psychicznego też brakowało. No więc co? Kim był Izmir Predú i jak właściwie nazwać jego postępek?

Zwłoki inżyniera pozostały na planetoidzie i tym sposobem obróciła się ona na językach komentatorów w „Izmiraide”. „Sagittarius” oraz „Fellini” spędziły tam w sumie dosyć czasu, by zebranych o roju danych starczyło do analizy Centrum Astronomicznego, Rotschild-Larus zażyczył sobie bowiem rachunku kosztów odzysku swego holownika i potrzebował ścisłej predykcji toru Izmiraidey, który – z uwagi na bliskość słońca oraz chaotyczną strukturę roju – nie był dla komputerów pokładowych do końca oczywisty. Jednak żywokrst logiczny Centrum – wbrew oczekiwaniom – z pojedynczego krzaczką mimo wszystko prostego układu równań rozrósł

się na dziesiątki metrów i żądał dalszych danych o planetoidach. Nie był to żaden rój, żadne ruchome śmietnisko po roztrzaskanym większym obiekcie – okazywało się, że poruszał się po krzywej wymuszonej, a wzajemne położenie należących doń asteroid zmieniało się częstokroć na przekór oddziaływaniom pola grawitacyjnego Lévie. Wszystko wskazywało na istnienie pomiędzy modułami kompleksu planetoid sztywnej więzi o nieznanym charakterze, niwelującej niektóre zewnętrzne wpływy. Pierwszy jasno wyartykułował to doktor Hoan z Centrum, unieśmiertelniając tym samym swe nazwisko. Supozycje tyczące natury owej więzi ograniczyły się praktycznie do ogólników o egzotycznej materii tudzież egzotycznej technologii (w domyśle: Obcych; dziennikarze to uwielbiali), jako że ani „Sagittarius”, ani „Fellini” nie zarejestrowały tam żadnych fenomenów znanych oddziaływań. Tym bardziej wzrosło zainteresowanie Izmiraidami (nazwa szybko ekspandowała) i wyprawa do planetoid wydawała się przesądzona.

Jakoż i doszło do niej za kolejnym nawrotem kompleksu (który to nawrót z uwagi na Wektor Hoana nie był zresztą bynajmniej taki pewny). Wśród sponsorów przedsięwzięcia znaleźli się: rząd Lizonne, R-L, CFG oraz NASA. Odbiło się to na doborze członków załogi „Laosu”: rzec, że był racjonalny, znaczyło zełgać w żywe oczy. W skład ekipy wszedł między innymi bratanek wiceprezesa R-L, Stefana Ugerzo; bratanek był astrofizykiem amatorem, ale umierał właśnie na merculożę i wuj chciał mu przed śmiercią zrobić przyjemność. Onże Kotter Ugerzo jest bezpośrednim sprawcą całej afery ze świętością Izmira. W trzecim tygodniu po przybyciu na Izmiraidy ogłosił wszem wobec, iż Izmir Predú wysłuchał jego modłów i wyprosił cofnięcie się choroby. Kotter ponoć co laosową noc chadzał nad grób Izmira (komputer „Laosu” potwierdzał jego wyjścia). Ponoć ozdrowiał w ciągu trzech dób (diagnoster „Laosu” potwierdził znaczącą poprawę stanu jego zdrowia). Zanim jeszcze „Laos” powrócił na Lizonne, z uszczęśliwionym i przepełnionym poczuciem misji Kotterem na pokładzie, i zanim specjaliści zweryfikowali wieści o cudownej remisji (a w końcu zweryfikowali, Kotter zaś ozdrowiał zupełnie) – zanim więc minęło te kilka miesięcy, już ruszył w orbitalnych portach Lizonne potężny przemysł kosmicznych pielgrzymek. Święty Izmir z Planetoid! Pamiętam, że biskupa mało szlag nie trafił. Poszło oczywiście zapytanie do Watykanu, ale tymczasem zostaliśmy tu sami, zamknięci w bańce naszego horyzontu zdarzeń. Byłem przy tym i wiem, z jaką ostrożnością podejmowano



decyzje. Pierwsza – omalże odruchowa – reakcja jest zawsze taka sama: „Powstrzymujemy się od komentarzy, sprawa wymaga szczegółowych i wolnych od presji oczekiwań badań”. Łatwo podjąć decyzję, trudniej się z niej wycofać; w przypadku Kościoła – praktycznie nie sposób. W efekcie z zasady wychodzimy z pozycji adwokata diabła, i to jest słuszne. My czekamy; ale świat nie czeka na nas – i zanim się obejrzelismy, rośła na Rogu ufundowana przez Stefana Ugerzo Katedra.

Wszyscy już znamy koordynaty punktu bez powrotu. Jeśli nie był to bankiet pożegnalny, to w każdym razie coś bardzo do niego w nastroju podobnego.

Przyjęcie zorganizowali pospół: izmiraidowa filia NASA i Matabozza. Stoły z napitkami rozmieszczono pod arkadami budynku administracyjnego NASA, który obecnie jest już prawie pusty.

Wiele osób kręci nosem na to spoufalanie się Matabozzy z nadzorcami. Wasojfemgus złapał mnie tuż przy wejściu i zaraz oświecił:

– Wiedzą, że już je stracili – zamruczał ponad szklanką, wskazując ruchem głowy nieodległych dyskutantów. – Minimalizują straty.

Wasojfemgus pracuje dla Space Investments Ltd., okazyjnej podspółki Rotschilda-Larusa.

– Szat jakoś nikt nie rozdziera – zauważyłem.

– To byłoby w bardzo złym guście – uśmiechnął się Wasojfemgus. – Ale gdyby ksiądz wiedział... Ksiądz po prostu nie obraca się w tych kręgach...

– Cholera, nawet tu są „kręgi”. Ilu nas zostało? Dwieście osób?

– Coś koło tego.

– I też trzeba się obracać. No, co się mówi? Przynajmniej już, mam nadzieję, przestali oczekiwać cudownej interwencji Kościoła...

Wasojfemgus posłał mi zdumione spojrzenie.

– Nie wiem, skąd księdzu przyszedł do głowy taki pomysł, tak na serio nikt przecież tego nie oczekiwał.

– Widać rzeczywiście obracałem się w nieodpowiednich kręgach.

W istocie owe „kręgi” oznaczały przez dwa tygodnie mego pobytu na Rogu niemal wyłącznie pielgrzymów i ludzi, którzy mieli z nimi przez te

wszystkie lata styczność; liczba przeprowadzonych wywiadów przekroczyła już czterdzieści.

Wtedy, oglądając się za lewe ramię Wasojfemgusa, dojrzałem wśród uczestników owej stypy tego jednego pielgrzyma, z którym dotąd nie było mi dane porozmawiać, a o którym słyszałem od tak wielu mych interlokutorów. Podpierał białą ścianę i siorbał gęstą ciecz z wąskiej szklanki. Cały był w szarościach – obwisłym swetrze, brudnych spodniach; nawet skórę miał w przyćmionym świetle niezdrowo szarą. Nazywał się Gazma i przebywał na Rogu od ponad trzech lat. Twierdził, że objawił mu się szatan; twierdził, że Bóg uleczył go nad grobem Izmira z ciężkiej schizofrenii; twierdził również, iż przeznaczone jest mu umrzeć na Izmiraidach.

Kiedy podszedłem i zapytałem (rozpoznał mnie, miał to w oczach) – zaprzeczył.

– Nie, nie, nie. Ksiądz nie pyta, ksiądz da spokój.

Nachyliłem się ku niemu. Był ode mnie niższy; zdawał się jeszcze niższy, stojąc tak przygarbiony pod ścianą. Nachylałem się, patrzyłem mu w oczy, gwałciłem psychicznie, nie wiem, co mnie naszło, obsceniczna bezbronność niektórych ludzi sprowokuje i świętego, a Gazma stanowił właśnie taki fenomen wiktymologii.

– On żyje – szepnął, rzucając spojrzenie na boki. – Był ksiądz w Katedrze...? Widział ksiądz...?

– Dlaczego nie odleciałeś? – spytałem. (Oczywiście dobrze znałem całą historię).

– Nie mogę – jęknął. – Nie mogę, nie mogę, nie mogę, ma mnie w garści. Kiedy tylko próbuję...

A wiedziałem, że próbował przynajmniej dwukrotnie. Wtedy odzywała się ta jego schizofrenia, czy co tam naprawdę mu dolegało, i organicznie już niezdolny do opuszczenia Rogu (popadał bowiem w jakąś epileptyczną drgawicę) wracał czym prędzej na powierzchnię Izmiraidy, do Katedry, do grobu Izmira. Mirton opowiadał, że zastawał go tam śpiącego w nogach żywokrstnego katafalku. Częstość Gazma zaskakiwał Mirtona, gdy niespodzianie wynurzał się skądś z wnętrza Katedry, na ostatnich wdechach powietrza dopadając wewnętrznej biostazy; zaraz zresztą, uzupełniwszy zapasy skafandra, na powrót znikał – szalony pielgrzym w królestwie cieni. Mirton nabawił się lekkiej nerwicy na tym tle. – Teraz

ilekroć odprawiam mszę, ilekroć podchodzę do ołtarza – wyznał mi – mimowolnie ogłądałem się w mrok i wślępiam w ten bezsensowny chaos żywokrystu, pewien, że on, Gazma, gapi się na mnie tymi swoimi kameleonowatymi oczyma, stamtąd, z wysokości, z dziczy kamienia, jak i on nieruchomy, pokręcony.

– Ale tak naprawdę...? – dopytywałem się Gazmy. – Co to było?

– Co?

– Musimy się umówić na poważną rozmowę. Nie masz chyba nic przeciwko? Nie chciałbym pominąć tak istotnego świadka.

– Oczywiście, oczywiście...

W tym momencie zupełnie już nie byłem ciekaw, co Gazma może mi mieć do powiedzenia. Obrzydzenie do niego, obrzydzenie do siebie; przeciwne wektory odepchnęły nas, wróciłem do stołów zewnętrznych.

Tu upolował mnie Telesfer. Magdalena Kleinert pogryzała leniwie jakieś egzotyczne owoce i tylko mrugnęła dla zaznaczenia, że też mnie zauważyła. Częstokroć uderza mnie sztuczność tych odziedziczonych po czasach dzikiej biologii etykiet: przecież mózgowiec patrzy i słucha także oczyma i uszami nosicielki.

– Kiedy ksiądz odlatuje? – spytał Telesfer.

– Jeszcze nie mam potwierdzenia.

– Jak tam raport?

– A cóż to teraz ma za znaczenie? Potencjalne koszty rosną już niemal wykładniczo. No przyznaj się, tak naprawdę nigdy nie wierzyłeś w interwencję Kościoła. Po co była ta komedia?

– A jak ksiądz sądzi? Żartowałem sobie z księdza?

– Wszystko, co mi powiedziałeś i pokazałeś, to prawda; sprawdziłem. Czarna Wata, błysk gamma. Tylko ta gotowość korporacji do partycypowania w kosztach przedsięwzięcia, jak się okazuje... Coś tu nie gra, panie Telesfer.

– Wie ksiądz, różne są korporacje.

Spojrzałbym mu prosto w oczy, ale przecież nie mogłem. Magdalena dalej wgryzała się w soczysty owoc; uniosłem wzrok ku niebu, to znaczy przyćmionemu wewnątrzstazyjną jasnością straszemu kosmosowi. Wydało mi się, że zrozumiałem – i trawiłem teraz tę nową wiedzę.

– Szukaliście przykrywki – mruknąłem. – Oczywiściej atrapy. Ale kto zagwarantował fundusze?

– Jacy „my”, jacy „my”?

– Niedzielni spiskowcy. Nie do końca pewni, ale mimo wszystko z silną motywacją. W grę muszą wchodzić jakieś wartości niekomercjalizowalne, inaczej... Mhm? Panie Telesfer?

Zaśmiał się przez głośnik.

– Czy Kościół opiera się na wartościach komercjalizowalnych?

– Dlatego też wydawało wam się, że tu znajdziecie sprzymierzeńca.

– Mylnie.

– Mylnie.

– Kościół obchodzi tylko świętość Izmira.

– Dokładnie.

– Kościoła nie obchodzą Boże Dzieci spod obcych słońc.

– Uch! Litości, panie Telesfer!

– No?

– To przestarzała sensacja, były już dwie encykliki, dawno zasymilowaliśmy możliwość.

– A pewność? Czy poradzicie sobie i z nią?

– Zejdźmy może na ziemię.

– Tupię. To jest ziemia. I wie ksiądz, co w niej.

– Fakty, panie Telesfer, fakty. Nic nie zostało dowiedzione.

– Dlatego właśnie...

– Kto? Wy? Więc kto właściwie? Kilkoro naukowców?

– Bo myśmy uwierzyli, Lavone.

– W co? W Watę?

Mózgowiec nic nie odrzekł, odezwała się za to Kleinert.

– Bardzo się w to zaangażował. – Uśmiechnęła się melancholijnie. – Żal mi go. Biedaczysko widział już swoje nazwisko w encyklopediach.

Relacjonuję tę rozmowę tak dokładnie, ponieważ przypuszczam, że Telesfer był tu już całkowicie szczery; a w każdym razie na tyle, na ile w ogóle to możliwe. Gdybym mógł podczas niej widzieć jego twarz, zrozumiałbym wszystko. Tak sędzę.

Widać Madeleine. Nawet z wnętrza Katedry, z wnętrza jej biostazy – strzelają tu do środka promienie soczystej purpury. Czekałem na Gazmę już pół godziny. Zdjąłem skafander i położyłem na pierwszej ławie, obok hełmu. Modliłem się chwilę; Gazma wciąż się nie zjawiał. Bezwiednie uniosłem głowę i jałem się przyglądać splątanim wnętrznościom Katedry. Uczucie nie było tak silne, jak opowiadał Mirton, ale i ja co setną myśl kierowałem ku labiryntom wysokich cieni z przeświadczeniem, iż ktoś, Gazma, przypatruje mi się stamtąd. Podszedłem do samej granicy biosfery, by z bliska przyrzeć się żywokrystnemu kamieniowi. Rzeźbienia były bardzo skomplikowane, jeden wzór przechodził w drugi, geometria przystających figur wiodła chciwe spojrzenie poza zasięg światła. Oczywiście to nie były rzeźbienia jako takie, nikt przecież nie ciosał, nie obrabiał kamienia Rogu. Z pierwszych ziaren poczęta forma rozgryzła zimny grunt planetoidy i ruszyła falą nanoprzekształceń, aż, cząsteczka po cząsteczce, wzniesiony tu został pomnik Ugerzowej wdzięczności. Ale ile może zostać zawarte w pierwotnych algorytmach ziaren, w architektonicznych kodach żywokrystu? Ta twarz – to była twarz, nie miałem wątpliwości – ta twarz i ta sylweta, i ten menisk kamienia, i nawis pustookich czaszek, i ten korowód na jelicie powyżej, na przeciągniętej wskroś lędźwi Katedry strunie ciemności, korowód chudych postaci, *danse macabre* niehumanoidalnych szkieletów, to wszystko przecież nie mogło się znaleźć w kodzie ziaren inicjujących; nie znam precyzyjnie ich pojemności, ale wydaje mi się nieprawdopodobne, by projektanci wpisali w nie przyszłe położenie każdej drobiny izmiraidowego minerału, zupełnie nie na tym polega żywoplanistyka ergodyczna, trzeba pozostawić wielkie pole chaosowi. Więc jeśli to nie projektantów ręka, nie ich artyzm – czyj zatem? kto rzeźbił? kto dał wdzięk kruchym aniołom, krwiożerczość łbom stalagmitowych demonów, układ płynności falowym załamaniom wewnętrznej skóry Katedry, kto uczynił dzieło sztuki? Postanowiłem sobie poczytać więcej o technologiach nanorodnych.

Wspiąłem się na oparcie ławy, z niej na kościaną wypustkę jednego z krzywych żeber Katedry. Tu, w połowie nawy głównej, spod powierzchni kamienia, jak przez grubą błonę zniekształcającą rysy, wyglądają, przebijają się – naturalnych rozmiarów głowy. Cienie spływają miękko po czołach i policzkach, przesunąłem dłonią, opuszkami palców, zimne, bardzo zimne,

pierzchnie skóra. Oderwałem rękę w obawie, że jeszcze przymarznie, dopiero byłyby afera. Za gwałtownie, za gwałtownie! – to Izmiraidy, przyciąganie minimalne, lekkie odepchnięcie wyrzuca w górę na metry. Poleciałem płaskim łukiem, rąbnąłem plecami o barierę ochronną biosfery, trochę zamortyzowało; rzuciło mnie z kolei ku grobowi Izmira. Zdążyłem jeszcze złapać się jednej z ław, obróciło mnie w powietrzu, wyrzniętem o posadzkę lewym barkiem, czaszka stuknęła o kamień, to się tak lekko teraz mówi, lecz wtedy byłem pewien co najmniej wstrząsu mózgu. Nie to, że odjęło mi wzrok, ale ból zdominował wszystkie zmysły, przesłonił świat. Mrugając, pomacałem się po głowie. Lepko. Dopiero po chwili zobaczyłem czerwień na palcach. Włosy zlepione krwią. Zataczając się, powlokłem się do skafandra. Włożyłem go, założyłem hełm, usiadłem i włączyłem diagnoster. Weszły we mnie mikrosondy. Kość nie pęknięta, ale długie rozcięcie skóry. Nie trafiło na znaczniejsze naczynia krwionośne, upływ krwi niewielki. Czekałem, aż przestanie mi się kręcić w głowie. Gazmy nadal ani śladu. Cholera z nim; przecież to niewątpliwy szalenciec, jak mogłem przypuszczać, że przyjdzie na czas, że w ogóle przyjdzie. Uch. Zapieкло, gdy skafander zasklepiął ranę. Środki uspokajające zaczęły działać. Wróciłem do hotelu Honzla.

Zapiszę, jak brzmiały ich relacje.

Wasojfemgus, który siedział w ładowniku tuż obok mnie, mówi, że od początku się pocilem, denerwowałem i chciałem wyjść z powrotem. Kiedy zapowiedziano start, ponoć rzuciłem się biegiem do śluzy.

Kretcher, który miał mnie na podglądzie, twierdzi, że nie potrafiłem założyć sobie hełmu. Mają mi przesłać plik z tą sekwencją.

Z kolei ludzie z obsługi twierdzą, że musieli mnie schwytać i siłą odciągnąć, żebym się nie zabił, biegnąc na oślep po powierzchni Rogu.

Dwaj lekarze, McVine i Bedusadus, po przeanalizowaniu wyników badań orzekli doskonały stan fizyczny i psychiczny; w każdym razie bez wątpienia mieszczący się we wszelkich normach.

Ja nic nie pamiętam. Nie wiem, dlaczego uciekałem.

Mirton odlatuje jutro. Przyszedł do mojego pokoju i wypowiedział na głos moje własne strachy.

– Zdaje się, że to *casus* Gazmy. Symptomy się zgadzają. Co mówią?

Powiedziałem mu, co mówią. Westchnął – jakby się już litował. Zakląłem.

– Przecież ja muszę jakoś stąd odlecieć!

– Spróbuj jutro ze mną – zaproponował.

– A jak próbowali z nim? Znaczy z Gazmą...?

Odwrócił się od okna i zapatrzył na mnie z jakimś chorym pomieszaniem fascynacji i odrazy, nieśmiałości i bezczelności.

– Jak to się stało? Co ty właściwie zrobiłeś?

– Nic!

Nie wierzy. Podejrzewa Bóg jeden wie co.

Z Gazmą było tak: Uśpili go i załadowali nieprzytomnego na lądownik. Lądownik wystartował i wtedy serce Gazmy przestało bić. Resuscytacja, stymulatory, ciosy adrenalinowe. Dopiero któryś z lekarzy spod kopuły skojarzył i kazał im wracać (mózgowiec, oczywiście; potem nie potrafił się wytłumaczyć z intuicji). Wylądowali z powrotem; z wielkim trudem reanimowali Gazmę. Biedak właściwie zaliczył śmierć kliniczną.

Nie jestem pewien, czy chcę się porywać na podobne eksperymenty. Ale przecież muszę jakoś wrócić na Lizonne! Madeleine wyrzuci Izmiraidy w pustkę pozaukładową, ciemność absolutną. Okno zamyka się szybko.

Przyszedł także Telesfer. To znaczy – przyszła Kleinert. Telesfer chciał wiedzieć to samo co Mirton: co ja takiego zrobiłem. Nic! Czynił jakieś aluzje. Ten mózgowiec nie potrafi wypowiedzieć zdania bez opakowania go wiązką insynuacji. Cóż, ostatecznie tak właśnie funkcjonują ich umysły.

Porozumiałem się z biskupem. Irytująca rozmowa, zwłaszcza przy takim opóźnieniu. Zdaje się, iż biskup Hauptert uważa, że się czymś tu zaraziłem. Ciekawe czym, miasto w kraterze sterylne od zarania, sam Róg nie posiada ni śladu atmosfery, nie wspominając o biosferze. Niemniej rozumiem biskupa, sytuacja jest delikatna, ostatnie, czego nam trzeba, to śmierci duchownego na Izmiraidach.

Wyspowiadałem się.

Nie wiem, co robić. Raport jest właściwie skończony; zresztą i tak sukcesywnie przesyłałem materiały na Lizonne. Ale Gazma – z Gazmą powinienem porozmawiać niezależnie od wywiadu do raportu.

Poszedłem więc do zarządu miasta. Tam znajduje się terminal systemu kontrolnego biosfery. Wiem, że rejestruje się wszystkie otwarcia śluzy

i skafandry są identyfikowane. Jeśli liczba recordów Gazmy jest nieparzysta – oznacza to, że znajduje się on wewnątrz, pod kopułą. Była parzysta.

Śluzę są dwie: do Katedry i do lądowiska. To znaczy jest ich więcej, ale tamtych normalnie się nie używa, trzeba specjalnych kodów; pytałem, komputer mi powiedział. Więc: Katedra lub lądowisko. Założyłbym się, że Katedra. Sprawdziłem ostatni record. Lądowisko. Cóż, on też ma prawo próbować odlecieć.

Pospieszyłem pod tę śluzę. Na wszelki wypadek byłem w skafandrze. Usiadłem tam w ogródku opuszczonej willi – jakieś dziesięć metrów od wrót śluzy – i czekałem. Mijali mnie w gruisach i D-muckach wyjeżdżający. Niektórzy tylko wymieniali między sobą spojrzenia, niektórzy machali mi na pożegnanie. Wszyscy wiedzą, oczywiście.

Pojawił się po godzinie. Zdjął hełm i zobaczył mnie. Myślałem, że będzie uciekał, ale on spokojnie wszedł do ogródka, usiadł na trawie. Patrzył teraz zupełnie inaczej: nie bał się. No tak, on też wiedział.

– Jak stąd odlecieć? – spytałem.

Wyszczrzył się głupkowato.

– Nie można.

– Dlaczego?

– Izmir nas przyjął.

Musiałem mieć nieprzyjemny wyraz twarzy, bo obronnym gestem wzruszył ramionami.

– Mówią, że podobne rzeczy przydarzają się ludziom w Jerozolimie, w okolicy Grobu Pańskiego. Jeśli ktoś zbliżył się tak i doświadczył... rozumie ksiądz... potem nie jest w stanie odejść na większą odległość, opuścić miasta. Grób go przyciąga jak magnes żelazo, można wykreślić linie potencjału. Ludzie wariują od tego, umierają albo zostają pustelnikami, albo wstępują do zakonu, albo się zabijają.

Chciałem go zapytać, jaką karierę przewiduje wobec tego dla siebie.

Powstrzymałem jednak szyderstwo.

– A pan – czego pan doświadczył?

– Ona żyje, wie ksiądz o tym. Prawda?

– Co?

– Katedra.



- Taak. Domyśla się pan przyczyny tego... uwięzienia?
- Dotknął nas. Przyjął. W każdym razie mnie. Należymy do niego, do Katedry.
- Ma pan na myśli Izmira?
- A kogo? Czy nie modlił się ksiądz przy jego grobie? Nie całował rąk?
- Pan się modlił i on wyprosił pana uzdrowienie.
- Tak. Tak. Tak.
- Co z tego, skoro i tak nie może pan stąd odlecieć? Dłużej by pan żył, gdyby pozostał na Lizonne. O ile wiem, schizofrenia nie jest śmiertelna.
- Gazma, oburzony, poderwał się jak oparzony.
- I ksiądz to mówi?! Ksiądz...?! – krztusił się nade mną.
- Zanim opadł na ziemię, uspokoił się nieco.
- A jednak próbuje pan odlecieć – zauważyłem.
- Co?
- Nie po to chodził pan do lądowników?
- Odwiedzałem „Sagittarius” – odwarknął spode łba (znowu stary Gazma) i odszedł.

Jeszcze przez jakiś czas widziałem go wyskakującego łukami ponad dachy budynków niższych kręgów, z taką wściekłą energią maszerował.

Odwiedzał „Sagittarius”. Cóż. Możliwe. Chociaż co niby miałyby robić w tym pustym i zimnym, zdehermetyzowanym wraku holownika? Ale do Gazmy wszystko podobne.

Ja także raz tam poszedłem. W ramach pracy nad raportem. W końcu to też jest miejsce kultu, na tyle popularne, że pociągnięto doń od portu linię asekuracyjną. „Sagittarius”, nie przystosowany do lądowania na powierzchni planet, nawet do takich przyziemiń prawie zerograwitacyjnych, siadł był na Rogu z konieczności krzywo, na burcie, miażdżąc część anten i wysięgników oraz jedną z dysz (siadając na rufie, zmiażdżyłby wszystkie). Śluza awaryjna znajduje się na wysokości ośmiu metrów nad poziomem gruntu, posadzono tam żywokrystną drabinę, osiatkowaną z góry. Oboje drzwi śluzy są otwarte. Fosforyzujące strzałki wskazują w ciasnych korytarzach drogę do kabiny Izmira. Sama kabina zarośnięta jest przezroczystym żywokrystem, dla zakonserwowania zabytku i uniemożliwienia kradzieży oraz celowych fałszerstw. Od drabiny przez

równinę czarnej skały ciągnie się tak zwana Droga Predú. Co pięćdziesiąt metrów stoją wzdłuż niej żelazne krzyże. Droga prowadzi aż do samej Katedry. W czasach największego boomu kosmicznych pielgrzymek pątnicy tuzinami przemierzali ją na kolanach, niektórzy nawet czołgali się, powtarzając w ten sposób ostatnią wędrówkę Izmira. Głośno protestowali przeciwko propozycjom pociągnięcia tamtędy linii asekuracyjnej. Święty Izmir szedł bez asekuracji! Mhm, na pewno nie szedł na kolanach. Kilkoro się zabiło. Ich kamieniste mogiły znaczą Drogę Predú naprzemiennie z żelaznymi krucyfikami.

Bardzo dobrze potrafię sobie wyobrazić Gazmę, codziennie w samotności odbywającego tę pokutę, pełzającego po chropowatej skale pod zimną kopułą kosmosu, od krzyża do grobu, od wraku do Katedry i z powrotem, z imieniem Izmira na ustach, biały skafander na czarnej planetoidzie, przykryty ciemnością, nikt nie słyszy chrapliwych modlitw, gdy radio wyłączone.

Jutro Bedusadus spróbuje wywieźć mnie w komie (właśnie zadzwonił). Chyba pójdę odprawić mszę, poproszę Mirtona, żeby koncelebrował. On też odlatuje tym czarterem. Madeleine właśnie wschodzi znad krawędzi krateru, wielka jak pięść i coraz większa, bardzo piękna.

Nie udało się.

Zostałem. Bedusadus odleciał, Mirton odleciał (większość ludzi już odleciała). I tak z mojego powodu znacznie opóźnili odlot „Winstona”. Musieli mnie odstawić ze statku z powrotem na Róg. Nawet EEG miałem tam płaskie.

Nie żyłem.

Boże, daj mi siłę nadziei. Boję się. Jestem przerażony.

...

Że organizm tak alergicznie reaguje na oddalenie od Izmiraid – to jedno. Ale jakimże sposobem ich bliskość wraca mi życie, skoro już według wszelkich kryteriów – medycznych i niemedycznych – był martwy??

Aż nie chcę myśleć.

Z lądownika dzwonił Telesfer (odlatuje dzisiaj, wraz z resztą personelu CFG). Jego pytania podesuły mi odpowiedzi, których wolałbym nie rozważać. Pytał bowiem, czy wszedłem kiedykolwiek w bezpośredni

kontakt z Watą. Co, do cholery, ma znaczyć ten „bezpośredni kontakt”? W końcu mowa o formacji skalnej! Setki metrów pod powierzchnią gruntu! I zaraz zacząłem się zastanawiać, o co mogło mu chodzić. Że wówczas w laboratoriach CFG nie powiedział mi o Wacie wszystkiego, wiedziałem od początku. Zdradził tylko tyle, ile chciał. Zarzucał haczyk, sprawdzał wody. CFG robiła przecież setki odwiertów, na pewno wydobyli kilogramy Czarnej Waty. Inne kompanie również nie próżnowały. Jakie eksperymenty z nią przeprowadzali? Czego się domyślali? Telesfer najprawdopodobniej sądził, że poszedłem do konkurencji. I ta konkurencja... Co Wata może mieć wspólnego z uwięzieniem mnie i Gazmy na Izmiraidach?

Dzwonili również z Lizonne, z kurii i z Akademii. Właściwie przez cały dzień co chwila jakiś przekaz z planety. Wyobrażam sobie, o jaki ból głowy przyprawiła ich moja historia. Wieczorem biskup zwołuje w mojej sprawie radę. Pojutrze zamyka się okno dla najszybszego z okrążających Izmiraidy statków. Nie bardzo sobie wyobrażam, co właściwie mogliby oni tam uradzić. Ale – ale. Nadzieję trzeba mieć.

Wkrótce odlatuje również Honzl. Zdaje się, że jestem ostatnim jego klientem. Przekazał mi kod-klucz do wszystkich swoich nieruchomości na Rogu. Chciał coś powiedzieć na pożegnanie, ale zrezygnował i czmychnął. Musiałem mieć doprawdy osobliwy wyraz twarzy.

Mirton pozostawił swoją kwaterę w stanie takiego samego bałaganu, w jakim w niej mieszkał. Wszedłem i coś z hukiem spadło na podłogę. Są też różnice: nagie ściany. Widać zabrał ze sobą zdjęcia Katedry. Włączyłem rzutniki, ale skasowano im pamięć. Zacząłem grzebać w rzeczach Mirtona – to dobry sposób na zabicie czasu, rozproszenie myśli: ogarnięcie tego chaosu z pewnością zajmie więcej niż dwa dni.

Na szafie znalazłem karton z kilkudziesięcioma rulonami folii, na których wytrawiono powiększenia czarno-białych zdjęć Katedry. Rozwinąłem je po kolei. Mirton bazgrał coś na nich, zamaszystym piśmem czynił jakieś uwagi, strzałki wskazywały na objęte koślawymi okręgami fragmenty obrazu; wszystko to grubym czerwonym flamastrem. Przykleiłem kilka do ściany, żeby się dokładniej przyjrzeć. O co tu chodziło? Mirton zakreślał drobne szczegóły architektoniczne: gzyms jednej z wież, niby-gargulce portalowe. Obok zapisał: 2 MIES. WYDAL.? PERILEVIUM. I jeszcze: TRANSPORT MASY? A przy innym: 3 MM/H.

Zostawił też kilkanaście książek, nieoprawionych egzemplarzy typu *self-printed*. Były to głównie podręczniki akademickie technologii nanorodnych: *Żywokryst: budowa i funkcje*, *Chaos spętany, czyli Drogi Życia*, *Programowanie otwartych systemów negentropicznych – wstęp*, *Samowykonawczy Język Maszyn Nanorodnych*. Podręcznik i temu podobne. Przypomniałem sobie holo, w które pierwszego dnia omal nie wszedłem. Otóż Mirton studiował Katedrę od podstaw: jej architekturę i sposób powstania aż po technologie materiałowe.

O samym żywokryście wiem wystarczająco dużo, by móc przejrzeć te książki bez uczucia, iż walę głową w mur ezoteryki *hi-tech*. Co prawda nigdy do końca nie pojąłem teorii jego programowania, umysł jakoś się buntuje i odmawia zrozumienia idei planowania nieprzewidywalnego, obliczania nieobliczalnego. Praktykę jednak znam, kiedyś nawet sam siałem. Była to co prawda tylko mała altanka nad jeziorem u dziadków na Hoolstalonie. Wykonałem wszystko ściśle według instrukcji: zakresiłem z grubsza kwadrat (ciągnąc czubkiem buta po ziemi), otworzyłem hermetyczne opakowanie żywokrystu (seria „Altana – Wenecja”, jeśli pamiętam; oczywiście autoletalna), odmierzyłem porcję ziaren na dłoń – i posiałem wzdłuż linii. Trochę jeszcze zostało, to dosypałem na rogach. Potem rzuciłem na wierzch przygotowane wcześniej dwa wiadra błota. Przez noc altanka urosła aż miło. Ileż to ja miałem lat, trzynaście? Już wtedy nurtowała mnie założona nieprecyzyjność owego procesu: nie miało znaczenia, czy posieję te ziarna dokładnie wzdłuż linii, czy rozsypię szeroką wstęgą; nie miało znaczenia, gdzie które z nich upadnie; nie miało nawet znaczenia, czy wysypię je wszystkie, czy też tylko ćwierć (w gwarancji było napisane, że może wystarczyć nawet kilkanaście – cała ich torebka, dwadzieścia deko, była po to, żeby podnieść prawdopodobieństwo uzyskania idealnego kształtu docelowego maksymalnie blisko jedności). Rzecz jasna, istnieje – *nomen omen* – fundamentalna różnica między seryjnym, zamkniętym żywokrystem, z którego powstała altanka moich dziadków, a oryginalnym, całkowicie unikalnym, otwartym żywokrystem Katedry. Różnica dotyczy sposobu preprogramowania ich kodów. Żywokryst Katedry należy do tych „niezupełnych”: nie wszystkie dane formy docelowej ma sztywno określone na wejściu. Altanka, na ten przykład, wyrosłaby identyczna aż do struktury mikroskopowej, czy posiałbym ją na wulkanie, czy na dnie Oceanu Lizonne, czy na skale Rogu. Katedra natomiast – Katedra wyrosłaby

znacząco inna już przy zmianie tak drobnych parametrów, jak na przykład pora siewu.

Zapomniałem nad tymi książkami o uciekającym czasie (człowiek jednak potrafi sterować własnymi myślami) i dopiero sygnał połączenia z planetą przywrócił mnie do rzeczywistości. Było już po naradzie.

– Niewiele mogę ci rzec w tej ciemnej godzinie – powiedział biskup. – Pozostają dwie możliwości i obie równie tragiczne. Nie mamy prawa przemówić tu za żadną z nich. Być może wrócisz do życia na Lizonne, jeśli zdecydujesz się odlecieć mimo wszystko; ale tak naprawdę nie ma po temu logicznych przesłanek. Pozostając na Izmiraidach, zachowasz życie, jak mnie przekonują, jeszcze nawet przez kilka lat; potem wszakże przyjdzie ci umrzeć w samotności, w tej pustce. – Zaciśnął wargi. – Wydaje nam się, że w cierpieniu zawsze jesteśmy samotni, ale tak nie jest, tak nigdy nie jest. Pamiętaj o tym, tam, w ciemności. Bóg cię nigdy nie opuści, synu. – Pobłogosławił mnie. – Wybacz mi, że cię tam posłałem.

Tak, w chwilach naprawdę ostatecznych wracamy do słów najprostszych, przemawiając, jak się przemawia do dzieci; na początku i u kresu jest ta sama szczerść, pewność i prostota.

Za niecałe pięć godzin zamyka się okno, automatyczny „Portwajn” odpali o zadanej z góry porze, czy ja i Gazma znajdziemy się na jego pokładzie, czy też będą tam tylko ci ostatni dwaj inżynierowie NASA – on odleci; musi.

Gazmy nie będzie na pewno; wiem, powiedział mi. C h c e tu zostać.

A ja? Mam ochotę rzucić monetą, ale przypuszczam, że i tak nie podporządkowałbym się wyrokowi losu.

Miasto pod kopułą jest puste, rozdęte wszere i wzwyż wielką ciszą, tylko fontanny szemrzą i rośliny szeleszczą od sztucznie wzbudzanego wiatru. Chodzę szerokimi ulicami, w dół i w górę krateru, i wzdłuż zboczy. Cały ranek (był to ranek, bo akurat się obudziłem; połknąłem podwójnego stupaka) poddawałem się zdalnym badaniom specjalistów z planety. Zostało tu jeszcze sporo wysokiej jakości aparatury, mimo wszystko jednak nie na tyle cennej, by taniej wyszło płacić paliwem w drodze powrotnej na Lizonne za każdy jej gram. Teraz stanowią jedyne jej użytkownika. Na planecie burze mózgów, zdaje się, że jakoś to wyciekło. Jest jednak różnica:

oficjalny wysłannik kurii a nawiedzony schizofrenik. Płodzą teorie jeden przez drugiego, samych mózgowców tuzin, wysilają swoje metaintuicje. Uciekłem, kiedy zaczęli mówić o punkcjach.

Oczywiście tak naprawdę wybór jest oczywisty, nie ma po co rzucać monetą: ja m u s z ę wsiąść do tego „Portwajna”, zastupaczyć się na twardo i zdać na miłosierdzie boskie. Bo chociażby nie wiem jak nikła, zostaje wówczas jeszcze jakaś nadzieja – że już na Lizonne, ktoś, kiedyś, coś wymyśli, że mnie obudzą. A Gazma? Gazma umrze, zdechnie jak pies na pędzących przez zimną i ciemną pustkę Izmiraidach. Zapytałem maszyny. Okazuje się, że bynajmniej nie z głodu, nie z pragnienia, nie z braku powietrza: kraterowa biostaza stanowi system zamknięty, nic nie wycieka na zewnątrz. Nic oprócz ciepła. Kopuła wychłodzi się (estymuje podobliczalny komputer) w ciągu ośmiu–dziesięciu lat. Gdyby posiać żywokryształ logiczny, dałby precyzyjniejszą prognozę. Tak czy inaczej zależności są jasne: im dalej od Lévie, tym mniej jego energii wyłapują kolektory; już teraz słońce jak groszek. A ponieważ obowiązuje zakaz budowania w kosmosie prywatnych instalacji jądrowych (w gruncie rzeczy absurdalny, każdy to przyzna) i ponieważ nikt nie ma ochoty tracić fortuny, pozostawiając tu „na zmarnowanie” zapasy paliwa – Gazma zamarznie na śmierć. Teoretycznie wprowadzić mógłby się wkopać gdzieś w Róg i dokładnie zaizolować mały habitat. (Czy zostały tu jeszcze stosowne ziarna?) On chyba jednak niczego takiego nie planuje. Nie wiem, gdzie się podziewa. Nie odpowiada przez radio. W mieście go nie widać. Zapewne przemierza Drogę Predú, w tę i z powrotem.

Nie powinienem szydzić. Nie wątpię, że (choroba, nie choroba) dany jest mu teraz większy spokój ducha.

Bo zapewne też nie wydzwaniał do niego bez przerwy wszyscy krewni i przyjaciele, a także ludzie, o których istnieniu całkiem już zapomniał, lecz oni nie potrafią sobie teraz odmówić przyjemności przesłania osobistych wyrazów współczucia Atrakcji Dnia. Wiem, że niektórzy z nich są w tym jak najbardziej szczerzy, ale – „tak mi przykro, naprawdę!” – jak to tu brzmi, na tej pustej skale, pod zimnym niebem, cichym przedświtem śmierci...! Okrutne kpiny. Nic nie odpowiadam, pewnie bym zbluzgał wszystkich równo. Zawiść, tak, rozpoznaję ten smak na języku; nie pożądam żadnej rzeczy należącej do bliźniego – lecz jeśli tą rzeczą jest życie... Trzeba pożądać; należy zazdrościć.

Owa gorycz bierze się z głębokiego poczucia niesprawiedliwości. „Niczym nie zasłużyłem”. I teodycea dla maluczkich. Znowu: jakie to prostackie...! Rozum odrzuca, lecz w serce sączy się jad. Ten Boży sąd – tak naprawdę wszyscy przecież oczekujemy go już w życiu doczesnym. Tego nie da się wykorzenić, to jest podświadome, ta nadzieja i strach: że wszystkie dobre i złe uczynki rychło wrócą do nas, że wszechświat odda, co przyjął; szale muszą pozostawać w równowadze. Homeostaza szczęścia i nieszczęścia, wa. Toteż w głębi duszy czuję się jakoś oszukany. Pycha? Bez wątpienia.

A najgorsze, że niczego w tym nie rozumiem. Gdyby to był jakiś czynnik fizyczny... To znaczy: rozpoznawalny. (Bo że on nie jest czysto psychiczny, to nie ulega wątpliwości). Jakaś jednostka chorobowa. Jasny korelant między mną a Gazmą. Cokolwiek nazywalne. A w tej sytuacji... Bardzo łatwo mieć pretensje do Boga. Tylko głęboko wierzący zdolni są do wielkich bluźnierstw.

Mimo że, jak mówię, takie to prostackie... Tu, pod czarnym kloszem kosmosu... Madeleine... Już nie przesłonię wyciągniętą dłonią. Kogut przeskoczył Kwiaty, Salamandra goni Klucz i chyba go połknie, a od północnego bieguna rodzi się jakaś nowa burza, jeszcze bez imienia, karmazyn spalający się do szorstkiej dla oczu purpury, bardzo to dziwne, powinno iść w odwrotnym kierunku, od równika; ale Madeleine to zawsze była Pani Cudów. Spod zwrotnika Raka łypie na mnie okrągły cień Asmodeusza, czarna kropka na tarczy jaskrawych pasteli. Zaraz nadgryzie go Fistaszek, zaćmienia giganta przez planetoidy coraz są efektowniejsze.

Zostały mi... cztery godziny. Dwieście czterdzieści minut życia. Mniej: wcześniej muszę tam zasnąć. Próbowiałem się modlić, ale czuję, że to byłoby oszustwo. Zimne stopy i dłonie; znowu kłopoty z krążeniem w mikrograwitacji. Zjadłbym coś, jestem cholernie głodny – lecz mózgowcy odradzali, lepiej o pustym żołądku.

Po raz ostatni spojrzeć na Katedrę. Zabrałem kilka tych fotek Mirtona. O co właściwie mu chodziło? (Tak, dobrze: myśleć o czym innym). Podejrzewam, że tym sposobem tropił zmiany w architekturze Katedry; znalazł jakiś feler w kodzie żywokrystu, lukę w procedurach samousypiających. Zdjęcia to potwierdzają. Kilkakrotnie obszedłem Katedrę dookoła, wymacałem reflektorem niektóre z fotografowanych przez niego fragmentów budowli i porównałem: są inne, zmieniły się,

przepłynęły w formie do kształtów mniej lub bardziej pokrewnych. Tych, których nie znalazłem, nie znalazłem zapewne dlatego, że one i ich otoczenie zmieniły się za bardzo, bym w ogóle mógł je rozpoznać z tych zdjęć. Jak szybko to postępuje? Mirton, zdaje się, próbował mierzyć tempo. Na pewno jest znacznie wolniejsze od tempa pierwotnego wzrostu, Katedra przecież stoi tu tyle lat, ludzie by coś zauważyli. Tymczasem wydaje się, że nawet Mirton nie był do końca pewny swego. A może podejrzewał coś jeszcze innego?

Mignął mi też w stożku światła Gazma: spostrzegłem szybki ruch w górnych partiach lewej wieży Katedry. Musiał się od razu głębiej skryć w jej wnętrzościach, bo potem widziałem tylko nieruchome cienie. Cóż on tam robi? Jak tam w ogóle się wspiął? Katedra – i o tym nie muszę sobie przypominać, to widać – nie jest budynkiem poddanym ergonomii, nie służy swą architekturą człowiekowi, nie ma w niej żadnych schodów, szybów konserwacyjnych, Gazma musiał się porwać na prawdziwą wspinaczkę. Grawitacja słaba, to prawda – ale jak zleci stamtąd na łeb, połamie się na pewno, masa jest masą, pęd jest pędem.

Wszedłem do środka. Stoję nad grobem Izmira. Co ten wariat mówił? Że przyciąganie? Że nie można się wyzwolić? Jak opiłki żelaza. Być może on. Ja niczego takiego nie czuję. Zdjąłem hełm i rękawice. Kamień nagrobka jest zimny i gładki. Kanciasta twarz Izmira Predú wypełnia mi dłoń. Przewinąłem dziennik i jeszcze raz przesłuchałem zapis mojej rozmowy z Telesferem w laboratoriach CFG. Powiedzmy, że Czarna Wata jest artefaktem Obcych. Że to ona jest Maszyną Hoana, chociaż my nie potrafimy wykryć nośnika tych oddziaływań. Ślady błysku gamma sugerują jakąś kosmiczną katastrofę na wielką skalę. Izmiraidy przez setki tysięcy lat przemierzały próżnię międzygwiazdną. Czy może być tak, że zostały świadomie wystrzelone w przestrzeń przed eksplozją? Po co? Dokąd zmierzają? Przecież gdyby nie przypadkowe spotkanie z Madeleine, zakończyłyby swą podróż właśnie na orbicie Lévie. Więc jedno z dwojga: albo jest w tym cel, albo nie ma. Chociaż nie. Weźmy taki żywokrst. Są możliwe wyjścia pośrednie. Jednak czas – czas – otchłanie milionleci – to nie jest perspektywa cywilizacji...! A nawet jeśli wszystko to prawda – czym wobec tego jest Wata? Trzyma planetoidy w kupie. Ale w jakim celu? Bo gdyby miało to być jedyną jej funkcją... Sensu! Sensu! Kamień nagrobka taki gładki, że prawie wilgotny. *Deo Optimo Maximo*. Piękna jest ta rzeźba; dobrze, że przynajmniej jej nie puszczono na żywioł. W gruncie



rzeczy nie tak trudno zrozumieć fascynację Gazmy, estetyka jest najpierwszym językiem religii. Sto dziewięćdziesiąt pięć minut. Czerwienie, żółcie i błękity Madeleine prześwitują przez żebra Katedry, wszystko tu albo cieniste, albo umaczane w zawiesistych kolorach. Usiądę, uspokoję serce. Sądziłem, że to będzie przede wszystkim strach, zwierzęce przerażenie – lecz czuję już jedynie żal, wielki, nieruchomy, ciężki, przytłaczająca masa ciemnych wód. Brak myśli, brak rozkazów dla ciała, nawet oczy suche; tylko coś ściska w piersi. I po co mówić, cisza lepsza.

Nie polecałem.

Zasnąłem tam przy grobie. Zostałem. „Portwajn” odpalił o godzinie.  
Chryste Panie.

Po tygodniu.

Mieszkam u Honzla. Gazma gdzieś się włóczy, nie widuję go. Nie otwieram przekazów z planety, tam są tylko pytania.

Madeleine zajmuje dwie trzecie nieba, jest tak jasno, że muszę chodzić w ciemnych okularach.

Czytam. Śpię. Kontempluję Katedrę.

...

Kurwa, po co ja to właściwie

Zadzwoń do Mirtona.

Powiedział, że fotografował zmiany fenotypu Katedry, p o n i e w a ż genotyp, sam kod ziaren, jest bezbłędny.

– Długo to trwało, bo ja wciąż szukałem w inicjujących algorytmach odpowiedzialnych bugów; miałem stosowne sekwencje zdjęć, mogłem w przybliżeniu określić luki procedur. – Stanowiło to jego hobby, oddawał się analizie kodu dla odprężenia; pomocy i konsultacji nie chciał i odrzuciłby zaproponowane: cała radość z ułożenia puzzli bierze się z faktu, iż obrazek powstał wyłącznie dzięki tobie. – Ale w końcu zyskałem prawie stuprocentową pewność, że błędów nie ma. Lecz Katedra zmieniała się ponad wszelką wątpliwość. Próbowiałem ocenić tempo tych zmian.

Byłem tam wystarczająco długo, by odnotować korelacje szybkości transformacji z bliskością Lévie. Prześlę ci pliki z analizami i z surowymi danymi. Krzywa jest dosyć skomplikowana. Poniżej dwóch AU schodzi do zera. W okolicach aplevium skacze ostro, ale o tym sam najlepiej będziesz mógł się przekonać, bo teraz Izmiraidy zejda ze swej dotychczasowej orbity i wyrwą się ze studni Lévie. Ładniej to widać w pierwszej pochodnej. Zajmiesz się tym? – pytał. – Będziesz przysyłał dane? Słuchaj, ja wiem, że... – i zaczął się mieszać po Mirtonowemu, aż musiałem odstawić teatr na wizji, żeby się uspokoił. – Musisz przecież mieć coś do roboty. Zaczepić o coś umysł. Im bardziej przyziemnego, tym lepiej. Inaczej...

No? Inaczej – co?

Ech, biedny Mirton nie stanowi tu żadnego wyjątku. Nikt nie ma siły spojrzeć mi w oczy i powiedzieć prawdy: żem trup.

Może to i dobrze, iż nie widuję Gazmy. Bóg jeden wie, co mógłbym uczynić. Są chwile, gdy wypełnia mnie taka złość, że cały dosłownie się trzęsę. Ha, oto odkryłem korzenie słowa. „Trząść się ze złości” – bo człowiek naprawdę popada wówczas w jakiś chorobliwy dygot, wszystkie mięśnie naprężone, szybkie ruchy szczęki, hiperwentylacja, jakaś mgła przed oczyma, ręce wyciągają się, by złapać – cokolwiek – mimo że one właśnie trzęsą się najbardziej. W ten sposób zniszczyłem kilka książek Mirtona, podarłem na strzępy grube tomiszczka.

Tylko we wnętrzu Katedry jestem spokojny. No więc chodzę tu, siadam (z tyłu lub z przodu) i patrzę przez jej skomplikowany ciałoszkielet na gwiazdy lub na boską latarnię Madeleine. Nie ma echa, kiedy nagrywam. Nie ma echa, kiedy odprawiam mszę. Pod światłem Pani Cudów zmienia się barwa subtelnej poświaty bijącej od tabernakulum. Tu mogę być pewny swoich dłoni. Wznoszę ciało Chrystusa i widzę, jak przez hostię przebijają tęcze gorących barw planety. Czasami dotykam wówczas drugiego bieguna i zastygam tak na dłuższą chwilę, całkowicie spokojny, wyzbyty wszelkich strachów i pragnień, ukorzeniony w wieczności, aż nieustanne obroty Izmiraidów odsuną Madeleine poza Katedrę i pod Róg.

Nie wiem, czy to to samo, co u Gazmy, ale chyba też jestem chory.

Mimo wszystko podjąłem pracę księdza Mirtona i systematycznie rejestruję metamorfozy fenotypu Katedry.

Wykorzystuję największy z pozostawionych na Rogu komputerów, maszynę Matabozzy. Główny terminal mieści się w podziemiu ich pałacu, ale byłem tam tylko raz, żeby przyznać sobie najwyższy priorytet i otworzyć sztywne łącze z kompem Honzla. Teraz nie muszę wychodzić ze swojego pokoju.

AI Matabozzy wyśmiała mnie, kiedy zapytałem o program do obrazowań 3D.

– Takie rzeczy to ja improwizuję – parsknął dialogant, defaultowany jako nieznośny nastoletni geek. – A po co to księdu?

Wyjaśniłem mu, a wtedy wystrzelił z miejsca pięć wariantów zakrojonych na wielką skalę programów badań/obserwacji. Wybrałem ten najskromniejszy. Zasadza się on na zamontowaniu wokół Katedry oraz na zboczu krateru i kopule miasta kilkudziesięciu pełnospektralnych kamer BuI, których sześć kompletów zalega magazyny Matabozzy. Obraz szedłby bezpośrednio do Terrence’a (tak ma na imię AI) i on by już robił z nim wszystko, co trzeba. Koniec z amatorszczyzną Mirtona, zdjęciami pstrykanymi od czasu do czasu.

Poszedłem po te szwajcarskie cudenka kosmicznej inwigilacji. Rzeczywiście. Wystarczy wziąć i przycisnąć do w miarę gładkiej powierzchni.

Cóż mam lepszego do roboty?

Chyba się wczoraj urznąłem w trupa. Nie pamiętam, żebym pił, ale – Boże, co za kac...! Nic nie pomaga, nawet stupak. Rzygam do fontanny. Co uniosę głowę, Madeleine zaświeci mi w oczy, znowu eksplozja pod czaszką, nie mogę patrzeć, jakież ona w końcu ma to albedo, może tymczasem zaskoczyła i zaczęła spalać wodór, przecież ten blask jest nie do wytrzymania. Zwłaszcza gdy Salamandra po tej stronie. Schować się gdzieś.

...

Uch. No tak. Kiedyś jacyś alieni znajdą tu mój szkielet i odczytają te nagrania. Tyle będą o mnie wiedzieli, co usłyszą (albo wywąchają, po konwersji). No więc ten kościotrup posiadał kiedyś wcale sporą masę mięśniową, tkanki tłuszczowej nieco więcej, niż wynikałoby z proporcji, skórę w kolorze odrobinę jaśniejszym aniżeli te tu skały, ale włosy właśnie

takie. W gruncie rzeczy był równie nędznym przedstawicielem *homo sapiens* (to wewnętrzna nazwa kodowa), jak reszta gatunkowych pobratymców, co wyroili się z rodzimej planety w ekosfery pobliskich gwiazd. Informacja przetworzona przez układ nerwowy nie spowodowała – przynajmniej w jego wiedzy – żadnych wielkich zmian w otoczeniu. Aż po ostateczny *shutdown* nie był pewien, czy jego istnienie podniosło, czy też obniżyło sumaryczną entropię systemu. Przez większość czasu funkcjonował, opierając się na założeniu, iż jest to system moderowany, a główny admin nigdy nie zapomniawszy wszystkich kodów dostępu. Czasami wszakże zmieniał założenia, a to gdy natknąwszy się na wyjątkowo zabugowane procedury, wnosił był do *maintainera* gorące propozycje *patchów*, a przy ponownym wykonaniu okazywało się, że żaden *upgrade* nie nastąpił. To jednak mijało po kolejnym *reloadzie* z ROM-u.

Istniał tylko w jednym egzemplarzu.

...

Majaczenia, cholera.

Może ponownie zrobię użytek z tych wszystkich cudów medycznej techniki. Coś zbyt często zdarza mi się tak przysypiać.

Terrence daje mi trójwymiarowe projekcje Katedry, w dowolnej skali, w dowolnym przyspieszeniu. Przypomina to trochę film poklatkowy z życia roślin. Martwe, ale żywe. Teraz tu, przede mną, w skrzyżowaniu mętnych słupów światła, Katedra zmienia się z kamienia w zwierzę. Nie oddech, ale coś jednak porusza nią, istnieje rytm – wielogodzinny, skomplikowany rytm – w którym żebra nawy głównej unoszą się i opadają, szpony wież zaciskają się na próżni, falangi kostnych grzebieni stroszą się i kładą ku krzyżowi, a krzyż, krzyż jest coraz większy. Jednak pod tym rytmem, w tle, dzieje się więcej, tylko że ludzkie oko, a raczej ludzki mózg – nie rejestruje tego z taką łatwością, bo tu nie ma regularności i nie ma planu. Zmiany są niewielkie, lecz liczne; nakładają się wzajem na siebie, czasami się niwelując, czasami zaś potęgując. Płynie to z rytmem lub przeciw niemu – i wydaje się, iż faktycznie nie ma planu, formy docelowej.

Strzec się jednak muszę takich pochopnych sądów. Każdy, kto siał żywokrst, widział na własne oczy, jak z autentycznego chaosu rodzi się z góry założony porządek.

Jak rodzi się piękno. Bo to jedno o Katedrze rzec mogę na pewno: jest piękna. Nie jest ładna, nie jest dla oka przyjemna, nie uspokaja patrzącego – ale jest piękna. Estetyka bryły różni się od estetyki obrazu dwuwymiarowego lub estetyki ruchu. Nie angażuje jedynie zmysłu wzroku, lecz uruchamia także głębsze procedury. Napiera. Reorganizuje przestrzeń i człowieka w tej przestrzeni.

*Acheiropoieta* – oto, czym jest Katedra. Naturalny artefakt sakralny. Kiedyś tak nacieki wapienne formowały się na ścianach kamiennych – w piety; kiedyś to w przydrożnych formacjach skalnych widzieli ludzie sylwetki świętych, twarze Jezusa i Marii na szybach, w przebarwieniach fabrycznych, w płatach smogu. Relikwie natury; sztuka cudowna spod niczyjej ręki. Teraz mamy żywokryst. *Acheiropoieta* oznacza rzecz nie wykonaną ludzkimi rękami. Pozbawiony autora przedmiot o oczywistej teleologii. Bo kto mi poda nazwisko twórcy Katedry? Kto mi wskaże architekta, z którego zamysłu powstała ta porażająca wyobraźnię kompozycja kształtów? Komu złożyć hołd? Programiści żywokrystu wiedzieli jedynie, czym Katedra ma n i e być: zakreślili warunki brzegowe. Katedra jako taka nie istniała w ich myślach. Kto zatem jest autorem tego dzieła sztuki?

Izmiraidy?

Przypadek?

Bóg?

Nikt?

Teoria chaosu?

Ile sztuki w kawałku drewna wyrzuconym na brzeg przez morze? Ile głębi w nieintencjonalnych skrzepach materii? Unoszę głowę i przed oczyma mam kosmos. Rorschachowe wyciemnienia mgławic, rzekę Drogi Mlecznej, delikatne kwiaty gwiazdnych gromad, srebrny piasek odległych galaktyk, kwazarów, zgrzytliwe świetlne *staccato* pulsarów... A umysł to chłonie, obraca, organizuje, nazywa formy.

Pierwsi kosmonauci, powracając z orbity, często mówili o doświadczeniu mistycznym. Dane im było obcować pośrednio z wysoką transcendencją. Kosmos – Katedra – oddziałują w ten sam sposób.

Niebezpiecznie jest za bardzo się zapatrzeć.

W pierwotnym kodzie żywokrystu Katedry nie ma błędu, Terrence to potwierdza, kod posiada silne, nieprzełamywalne rozkazy terminalnej dezaktywacji; pozostawiono spory luz w przypadku wielu parametrów, lecz bariery wzrostu dano najmocniejsze z możliwych, klasyczną sekwencję Povosta mianowicie. Terrence mi to wszystko wyłożył, teraz więc jestem ekspertem. Praktycznie tylko żywokryst logiczny puszcza się bez Povosta, każdy inny musi go mieć, inaczej Bóg jeden wie, co mogłoby się zdarzyć; tuzin ziaren rzuconych dla otrzymania krzesła czy stołu jąłby się mnożyć bez opamiętania, 1-2-4-8-16-32-64-128-256-512, istny nowotwór żywokrystu, przylatuje kurier z Ziemi i zamiast planety widzi okrążające Lévie po orbicie Lizonne krzesło, ale to KRZESŁO, każda noga na dziesięć tysięcy kilometrów; a może septylion zrosniętych wzajem krzesel o normalnych rozmiarach. Toteż to mi mówi AI jasno: Povost jest stuprocentowo pewny, zawsze blokuje.

Fakty nie zgadzają się z teorią – tym gorzej dla programu. Okropnie się Terrence męczy, usiłując wytłumaczyć tę rozbieżność.

Tym razem to jednak ja okazałem się bardziej pomysłowy i pierwszy wpadłem na oczywistość. Poszedłem do Katedry, odłupałem udarówką fragment niby-rzeźby, wykluwającej się od zeszłego tygodnia w lewej absydioli, i zaniósłem AI do analizy.

Terrence go przeżuł, prześwietlił, przemielił, rozłożył, zamroził i spalił. Po czym rzekł:

– Struktura tych ziaren nanorodnych nie odpowiada żadnej z dostępnych mej pamięci struktur żywokrystu. Nie potrafię odczytać ich programu; ich kod nawet z grubsza nie przypomina SJMN.

Pytam go, co to właściwie oznacza. Czy chce powiedzieć, że Katedra nie jest zbudowana z żywokrystu?

– Nie – zaprzeczył – to jest żywokryst; w takim sensie, w jakim oryginalna fauna lizońska wciąż jest fauną, chociaż nie DNA replikuje i nie białka są jej budulcem.

Wobec tego odpowiedziałem na jeden z otrzymanych swego czasu przekazów, ten od Stefana Ugerzo mianowicie, i bez wstępów wyłożyłem mu kawę na ławę (człowiek *de facto* martwy może sobie w końcu pozwolić, cóż znaczą formy dla Wyzwolonego? Ot, taki Raskolnikow *savoir-vivre*’u).

Wydało się, powiedziałem mu. Wykorzystał pan cudowne ozdrowienie bratanka do bezpiecznego przetestowania nowego żywokrystu swej firmy. Tu, na Izmiraidach, gdzie nie sięga niczyja jurysdykcja i gdzie nie istnieje groźba nieskończonej ekspansji nanorodów, mógł pan spokojnie, pod przykrywką – w formie – sakralnej budowli odpalić próbną serię żywokrystu Rotschilda-Larusa. Teraz cały ten eksperyment odlatuje w przestrzeń międzygwiazdną, więc co wam szkodzi się przyznać? Dajcie prawdziwy kod pierwotny, nie tę fałszywkę, którą wstawiliście w specyfikację. Dajcie programy do analizy, żebym mógł zasadzić żywokryst logiczny dla ekstrapolacji o jakimś znośnym marginesie błędu.

Taką wiadomość posłałem.

A Ugerzo odpowiedział tak:

– Rozumiem, w jakim psychicznym stresie ksiądz żyje. Ale niech się ksiądz, z łaski swojej, otrząśnie i powstrzyma od rozgłaszania podobnych głupot. To wszystko są wyssane z palca bzdury. Współczuję księdzu, ale nie pozwolę się tak opluwać.

– A co mi zrobisz, sukinsynu?

Opuszczamy już Madeleine. Dała Izmiraidom takiego kopa, że maleje na gwiazdoskłonie ponad dwukrotnie szybciej, aniżeli wcześniej rośla. Ale jak potwornie razi! Przyciemniam hełm do prawie absolutnej nieprzezroczystości.

Muszę teraz wychodzić na skarpe i kopułę, bo drań Gazma systematycznie niszczy mi BuI. To już chyba dziesiąta kamera. I nawet zachodzi je jakoś tak sprytnie, że nigdy go nie widać, zanim nie roztrzaska aparatu. A przecież ich zapas jest ograniczony, a ja muszę nieprzerwanie monitorować Katedrę, ona zmienia się coraz szybciej, funkcja Mirtona się potwierdza, krzywa idzie w górę. Może powinienem przeprogramować służby miasta, żeby przepuszczały tylko mnie. Na przykład w ten sposób: każda próba otwarcia bez podania hasła, jeśli od poprzedniej minęło więcej niż, powiedzmy, dwadzieścia godzin (przecież nie ma w Katedrze zapasów wody i jedzenia), będzie blokowana. To go zatrzyma w kraterze. Dla pewności mógłbym też sprząc program tych służ ze służą Katedry. Albo jeszcze lepiej: ustawić przed nią jedną BuI.

Tak, gdy teraz patrzę, ze światłem Madeleine zza pleców... stąd Katedra najpiękniejsza. Nawet kąt i perspektywa są jakoś podobne do tych narzucanych przez projekcje Terrence'a. Prawie się spodziewam, że oto zaczniesz się Katedra pod moim spojrzeniem przeobrażać w kamienne imago. Rośnie, tak, jest teraz zdecydowanie większa niż wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Zwiększają się też odstępstwa w egzozkiecie. Z wież wypuszczają się jakieś krzywe, asymetryczne krużganki. Nabierają ciała wiszące mosty wychodzące od wież. W środku nawy głównej... nie jestem pewien, prawdopodobnie to cienie od Madeleine.

Niemożliwe – ale może ja istotnie potrafię dostrzec w czasie rzeczywistym zachodzące w niej zmiany?

W czasie rzeczywistym, akurat! Dwie godziny tu sterczę, letarg chyba jakiś. Coś jest ze mną nie tak.

Źle. Nie wiem co, ale strasznie to wygląda. Czarne fraktale kolców. Dlaczego Bedusadus i McVine tego nie wykryli? Teraz widać w każdym powiększeniu osocza, na tomografiach. Neożywokryształ w moim ciele. Dużo i coraz więcej.

Zabije mnie. Terrence mówi: – Tygodnie.

Ktoś musiał mi wstrzyknąć. Kiedy. Gdzie. Jak.

Dlaczego oni tego wcześniej nie wykryli?!

Gazma. Czy on też? Badali go, to na pewno.

Nie mogę go znaleźć. Ani służby kopuły krateru, ani służba Katedry nie zarejestrowały jego wejścia w ciągu ostatniej doby. Mógłbym uznać, że kryje się gdzieś w mieście, ale wiem, że był na zewnątrz, gdy zapuściłem program, bo dalej niszczył mi Buł. Nie rozumiem tego.

Źle znoszę światło. Madeleine coraz mniejsza, a ja wciąż w okularach. Przyciemniłbym całą kopułę, gdybym mógł.

Spać mi się chce. Gorąco tu.

Przeczuwam kierunek. Kamień.

Historia medycyny zna przypadki infekcji żywokryształnych. Nieodmiennie kończyły się śmiercią; szybką i bolesną.



Badam się co kilka godzin (chyba że zaśpię). Żywokryst Rotschilda-Larusa mnie pożera.

Gazmy ani śladu.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić. Ale do kogo. Co powiedzieć. Teraz, z takim opóźnieniem. I co oni mogliby mi powiedzieć. Nic, nic.

Potykam się coraz częściej. Ważyłem się: szybki przyrost masy.

Madeleine wielkości grochu. Ciemno. Ale parzy, jak parzy.

Zdaje się, że niechcący zdemolowałem swój pokój u Honzla.

...

Patrzę właśnie na najnowszą analizę medyczną. Krzywa rozrostu neożywokrystu w moim organizmie pokrywa się z krzywą Mirtona.

Obudziłem się przy grobie Izmira. Nie mogę sobie przypomnieć, jak tu przyszedłem. Rozebrałem się ze skafandra – ale gdzie ja go wcisnąłem? Nie ma go nigdzie we wnętrzu biosfery Katedry. Może to robota Gazmy... Kogóż innego?

Siedzę i czekam. Madeleine zupełnie nie widać przez żebra Katedry. Dużo cieni. Przyjemnie. Jakoś się nie boję.

Gazma powinien się pojawić prędzej czy później.

Teraz patrzę na Katedrę w inny sposób: jak na organiczny relik. Nad półsferą biostazy, za ołtarzem, zawęzła się jakaś chropowata bulwa, której nie przypominam sobie z poprzednich wizyt. Duża jest, dziesięć metrów najmniej. Patrzę i widzę początek organu. Poziome sploty od wież... Tętnice? Ściągna? Ale to wszystko w skali dni, kamień jest kamieniem, budowla ani drgnie, żywokryst gładki i zimny.

Postać Izmira Predú wydobywa się z płyty nagrobka jednak wyraźniej, chociaż cienie bardziej miękkie. Dłonie tęsknią do dotyku, jakby ciało czuło jakieś pokrewieństwo materii.

Zdjąłem na moment okulary, ale blask tabernakulum razi oczy.

Patrzę spod śluzy. Tu największe rozstępy w skórze Katedry. Widzę ścieżkę na stoku krateru i światła kopuły, widzę nawet niektóre kamery oraz najbliższe żelazne krzyże na Drodze Predú. Wyżej nieregularne dziury w polu gwiazd – to inne Izmiraidy. Nie potrafię ich jednak rozpoznać po kształcie.

Gdyby mimo wszystko Gazma się nie pojawił... Mhm, ciekawym, co pierwsze mnie zabije: odwodnienie czy neożywokryst R-L?

A jeśli Ugerzo mówił prawdę?

Zegarek mnie przekonuje, że spałem ponad dwie doby. Może to i prawda. Nie czuję jednak głodu ani pragnienia. Mam chyba gorączkę.

...

Osobliwe – czarne plamy Izmiraidów jakby większe na tle gwiazd. Maszyna Hoana musi pracować pełną parą.

Przesłuchuję teraz wielokrotnie zapisy moich rozmów z Telesferem. Wydaje się, że wiedział, że chciał mi dać znać. Ale to może być złudzenie (i najpewniej jest). Z mózgowcami tak zawsze. Po to wszak są hodowani. Gdy przychodzi do wstecznej analizy, w ich przypadku jeszcze trudniej ją przeprowadzić niż w przypadku otwartego żywokrystu – bo oni nie posiadają nawet programu inicjującego. Jest tylko wielki jak piłka kłęb tkanki nerwowej w macicy nosicielki. Nigdy się on nie rodzi; i nigdy się nie kończy: odnawianie, rozrost i rekonfiguracje jego komórek nerwowych; to jedna wielka wojna neuronów i ewolucja metaprogramu. Mózgowcy również nigdy nie osiągają tej precyzji sądu, co żywokryst logiczny – lecz potrafią sięgnąć w głąb ciemnych chmur pozaobliczalności, szybko dać przybliżenie, dotknąć swą mózgowniczą intuicją Tajemnicy. Jeśli mówią aluzjami i mętnie insynuują, to dlatego, że sami też nie wiedzą. Telesfer wchłonął dane i zaczął śnić – o Wacie, o Maszynie Hoana, o jakichś Obcych. On i inni mózgowcy niczego nie mogli przedstawić jako dowód, bo nie dowiedzione jest ich dziedzina – próbowali więc obejść struktury swych firm, zainicjować spisek. Bez powodzenia. Polityka nie jest ich mocną stroną.

...

Siedziałem tak oparty barkiem o ścianę Katedry i złapałem się, że obracam głowę i próbuję sięgnąć wyciągniętym językiem kamienia. Ale on nawet nie jest wilgotny.

Chyba rzeczywiście mam gorączkę.

Kolejne trzy doby. Gdzie Gazma?

Katedra, ona... Boże, Boże, Boże.

Nie pełzać, podnieść się na nogi.

Co? Ile to już? Izmiraidy, coraz ciemniej, nawet Lévie bez przerwy przesłonięte.

Trudno mi mówić.

Pokaleczyłem sobie usta. Chyba próbowałem gryźć żywokryst.

Odprowadzę mszę. Ostatni raz. Tak.

...Włączyć, bo wtedy ich spostrzegłem. Odstawiłem kielich. Mój cień od tabernakulum pada aż do śluzy. Wypełniają ławki. Ze światłem coś dziwnego. Niebo rozmazane, żadnej gwiazdy, tylko jedna sina mgła. I wielkie dziury od Izmiraid. Jakże blisko muszą być. Ale one też rozmazane, rozsmarowane po mgle, długie smugi od horyzontu do horyzontu; a jestem przekonany, że gdybym się wspiął na krzyż Katedry, mógłbym dotknąć...

Zdaje się, że coś nie tak z moim głosem; wszystko oczywiście markuję bezśłownie, ale gardło jak sparaliżowane. Czy ja mówię wyraźnie? Oni stoją i patrzą. „Oni” – a może inny zaimek lepszy: „to”, „To”. Wychodzą skądś z ciemności Katedry. Jak? Przez sferę biostazy? Chryste, tam są dziury, sfera jest zniszczona! Ale to niemożliwe! Jak ja...

Mój Boże.

Katedra, oni, krzywa Mirtona, Czarna Wata, co mówił Telesfer, niech mi Ugerzo wybaczy, niesłusznie go posądzalem, tak, żywokryst, żywokryst, *acheiropoieta*, DNA i SJMN, gdy już na tyle daleko od słońca, żeby znowu ruszyły procedury wykonawcze, a wszystkie Izmiraidy... Czy Kotter Ugerzo też... Tamten błysk gamma. Kod. Języki kamienia.

Katedra oddycha, wyciąga ku mnie czarne pępowiny. Rozrasta się. Sięga ku planetoidom. Oni zbliżają się cichymi falami. Gazma?

Niebo, niesamowite, kosmos rozpuszczony. Orientuję się po rozmazanych cieniach. To nie oni weszli w mój czas, lecz ja w ich: Katedry, Waty.

Czy jeszcze rozumiecie, co mówię? Coraz trudniej. Gdyby to szło do mikrofonu, pewnie nie byłoby szans, bo wątpię, czy zostało tu jeszcze choć odrobinę powietrza.

Sądząc po niebie... Coraz dalej, coraz wolniej. Ile to dni, gdy opuściłem rękę? Ciężko. Muszę się wesprzeć na ołtarzu. Gromadzą się w nawie. Katedra nas otula, jesteśmy Katedrą, fragmentami bryły, jednego dzieła sztuki. Spokój w motylo rozedrganych cieniach. Tylko mój cień od tabernakulum nieruchomy.

Czekamy na Architekta.

*Pamięci Antonio Gaudiego,  
sztuki jego wyobraźni*

*listopad 1998 – maj 1999*

Doświadczenie osobiste jest niewątpliwie pożyteczne. Ale gdyby się ściśle przestrzegało granic takiego doświadczenia, okropnie zacieśniłoby się twórczość poetycką, a nawet twórczość filozoficzną. Gdyby trzeba było czekać starości, aby się ośmielić o niej mówić, albo ciężkiej choroby, aby móc o niej wspomnieć, gdyby trzeba było samemu doznać wszelkiej udręki albo zamętu umysłu, aby je ująć w słowa, przekonalibyśmy się, że do napisania pozostaje zaiste niewiele. I jasne jest, że o wielu sprawach w ogóle by nie napisano, gdyż ten, co by ich doświadczył, mógłby nie być osobą obdarzoną talentem, zdolną do analizowania ich i wyrażania.

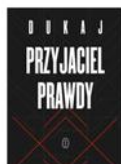
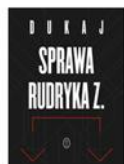
Konstandinos Kawafis, *Ars Poetica*  
tłum. Zygmunt Kubiak

**Minibooki Jacka Dukaja w Wydawnictwie Literackim:**

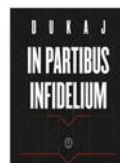
*Ze zbioru „Król Bólu”*



*Ze zbioru „Xavras Wyżryn i inne fikcje narodowe”*



*Ze zbioru „W kraju niewiernych”*



*Inne*

